Rok I. Lwów, 1. Lipca 1899. Nr. 6.

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Wychodzi raz na miesiąc.

Prenumerata wynosi:
rocznie złr. 1.60, z przesyłką 1.84 — kwartalnie 40 ct., z przesyłką 46 ct. — Numer pojedynczy 15 ct.

Adres Redakcyi: Lwów. ulica Kurkowa l. 14. Filia administracyi w Krakowie przy ulicy św. Anny 3.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały". — Krasiński.

Pr. 78/99
2

W imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. k. Sąd krajowy dla spraw karnych we Lwowie orzekł na mocy §§. 489 i 493 p. k. i §. 37 u. pr., że treść artykułu, umieszczonego w nrze 5. czasopisma „Promień" z dnia 1. czerwca 1899 pod napisem: „Nauka historyi polskiej w szkołach średnich" od słów: „chwilą przełomową" do słów: „ducha rewolucyjnego" zawiera znamiona zbrodni z §§. 63 i 64 u. k., zatem usprawiedliwioną jest zarządzona przez c. k. prokuratora rządowego konfiskata tego czasopisma.

Wskutek tej uchwały wzbronione jest dalsze rozpowszechnianie tego artykułu, a zabrany nakład ma być zniszczony.

Powody.

W zakwestyonowanym ustępie autor narusza cześć, winną Jego Ces. Król. Mości i członkom domu Cesarskiego, co stanowi istotę zbrodni z §§. 63 i 64 u. k.

Lwów, dnia 3. czerwca 1899.

Żminkowski m. p.

Odezwa!

Koledzy!

W życiu człowieka są chwile, które jak słupy graniczne stoją na rubieży pewnych okresów życia i stanowią nowe, nieraz zupełnie odmienne jego epoki.

Kto takiej chwili pozwoli przejść niepostrzeżenie, kto jej nie odczuje i nie zastanowi się nad jej doniosłością — dla takiego życie nie będzie szlachetną walką o wszystko, co sprawiedliwe, dobre i piękne, nie będzie szkołą hartu woli w mozolnym trudzie, ale bezbarwną i pospolitą mozajką nic nie znaczących wrażeń.

Dla nas młodych jednym z takich przełomowych momentów jest ta chwila, w której po długich latach żmudnej i wycieńczającej pracy na ławach szkolnych — opuszczamy mury szkół średnich i stajemy na progu samodzielnego życia. Cały zapas tłumionej energii i uczucia, cały nadmiar szlachetnego zapału rozsadza nasze młodzieńcze piersi, domagając się przyznania należnych sobie praw. Czujemy się wolni, swobodni i szczęśliwi, świat wydaje nam się taki piękny i dobry — po raz pierwszy zdala od mrożącej powagi katedry i ciasnych przepisów szkoły, że pragniemy jak najprędzej rzucić się w wir jego i poznać życie takiem, jakiem ono jest w rzeczywistośći.

Czyż w takiej chwili mamy pozostać bezczynni i zdać się na wolę losu bezmyślnego? Czyż pozwolimy się unieść temu, szaremu prądowi pospolitych uciech codziennego życia, w którym tylu zatraca się bez korzyści dla siebie lub drugich?..

Nie koledzy! Igraszką losu niech będą ci, którym wysoki urząd w przyszłości i chęć błyszczenia pozorem zgasiły serce i entuzyazm dla ideału.

My nie pójdziemy za nimi. Nam przyświecają inne drogowskazy, zatknięte genialną ręką naszych wieszczów, a wstępując na drogę przez nich wskazaną pójdziemy chociażby „piekłu ofiarę wydrzeć!“

Aby te myśli, rozpierzchłe wśród ogółu młodzieży, skupić w jedno ognisko i nadać im wyraz konkretny, grono młodzieży, utworzywszy umyślny w tym celu komitet, zajęło się zwołaniem wiecu ogólnego tych wszystkich którzy ukończyli obecnie szkoły średnie, i mają zamiar poświęcenia się wyższym studyom.

Koledzy! Na wiecu będziecie mogli szczerze i otwarcie wypowiedzieć wszystko, co czujecie, będziecie mogli zastanowić się nad każdą kwestyą, która Was żywo obchodzi, a w obszernej dyskusyi, która się wyłoni na tle przedstawionych referatów, wyjaśni się niejedna rzecz, o której może dotąd mieliście mylne pojęcie.

Poza tem nie dla jednego z Was Koledzy będzie to pierwsza sposobność wystąpienia samodzielnie, pierwszy krok do życia publicznego, którego pomijać się nie godzi, bo my, młodzież polska, powinniśmy być przedewszystkiem młodzieżą samodzielną i energiczną — młodzieżą czynu.

Bliższe szczegóły o wiecu podadzą dzienniki i afisze.

Koledzy, jawcie się jak najliczniej!

Za komitet urządzający wiec:

Władysław Wolski *Aleksander Wieleżyński*
Słuchacze politechniki.

Oswald F. Dawid.
Słuchacz praw.

Partykularyzm narodowy.

Śmiech wywołać musi, kiedy się słyszy ludzi, rozprawiających o potędze i żywotności polskiej i zachwycających się rozmiarami i bogactwem Polski „od morza do morza“, a weźmie się pod uwagę, że ci ludzie poza krainą, w której włada berło Habsburgów, właściwie Polski nie znają. Bo i jakżeż ją mogą znać, kiedy przywykli już nawet nie uznawać jej poza słupem granicznym, a przeciętny Galicyanin, kiedy wyjeżdża do Królestwa — co zresztą nie często mu się zdarza — to mówi, że „jedzie za granicę, do Rosyi“.

Na to, że wśród tak zwanych „Polaków“ galicyjskich wyrobił się taki wstręt do bliższego zaznajomienia się z czemkolwiek, co się dzieje po za granicami „konstytucyjnej Austryi“ — oczywiście tylko w sprawach Polski dotyczących — złożyło się wiele przyczyn. Naturalnie, że jedną z pierwszych przyczyn jest ten idyotyczny szereg głupstw, który w cywilizowanem państwie rosyjskiem zowie się „załatwianiem formalności“ na granicy. System wpuszczania ludzi „za paszportem“ do wnętrza takiego kolosu politycznego, jakim jest Rossya, jak z jednej strony uśmiech politowania wzbudzić musi, tak z drugiej strony rzeczywiście nie jednemu odbiera ochotę poddania się dobrowolnie tej tak bardzo cywilizującej operacyi, zwłaszcza, że ją nieraz grubo opłacić trzeba. Do tego środka prewencyjnego, jakim jest owa symboliczna „granica“, dająca przedsmak tego, co się za nią mieści, dołącza się i to, że tam „podobno policya lepiej zorganizowana“, a zresztą dokoła „moskale“, więc lepiej się nie narażać.

Gdyby tylko to stało na zawadzie, to wprawdzie byłaby pewna trudność w utrzymywaniu stosunków z zaborem rosyjskim, nie mogłoby jednak przyjść do tego, czego świadkami jesteśmy dzisiaj, nie mogłaby się utworzyć taka nienaturalna przepaść, jaka oddziela obecnie Galicyę od Królestwa. Tu przyczyniły się w równej mierze, a nawet daleko więcej, obojętność, zaściankowość i filisterstwo społeczeństwa galicyjskiego.

Rozpatrzmy się bliżej w tych stosunkach.

W Królestwie rozwinęła się nadzwyczaj bujnie literatura, a poniekąd z wspólnego z nią pnia wyrodziło się dziennikarstwo, w wysokim stopniu wyspecyalizowane. Prasa w Królestwie spełnia swój obowiązek — o ile to możliwe ze względu na brutalność kagańcowej cenzury — biorąc na ogół, na sposób

dziennikarstwa narodów zachodnio-europejskich, stając się dla społeczeństwa prawdziwą karmą duchową, niezbędną do życia, jak niezbędnemi są powietrze i woda. Że prasa zdobyła tam sobie takie stanowisko, przyczyną tego zapewne i ogólnie wyższy poziom kultury w Królestwie i żywsze zajmowanie się literaturą i wszystkiem, co ma z nią związek, ale także trzeba przyznać i to, że prasa ta stara się utrzymać na pewnym moralnym poziomie, którego obniżenie uważa za niegodne swego powołania. Oczywiście i tutaj są wyjątki, zwłaszcza wśród codziennych gazet warszawskich, które chcą uchodzić za refleks myśli i przekonań społeczeństwa, choć w isto cie nim nie są, lecz w każdym razie, jeżeli porównamy prasę Królestwa i prasę galicyjską, otrzymamy rezultat na niekorzyść tej ostatniej. Szczególnie nieuleczalne wady dziennikarstwa galicyjskiego: brak objektywizmu w ocenianiu zjawisk politycznych, społecznych, czy naukowych, a stąd tendencyjne przedstawianie faktów i fałszywe odbicie rzekomej „opinii publicznej“, niski pociąg do współzawodnictwa o zyski materyalne, wreszcie zupełna zależność od pewnych grup, koteryi, czy osób, rażąco dominują tutaj nad zasadami słuszności, sprawiedliwości i poszanowania cudzej myśli. Wprawdzie w ostatnich czasach daje się zauważyć w Galicyi zwrot ku lepszemu, ale zawsze jeszcze ogół prasy nie spełnia swego zadania.

Gdyby w Galicyi czytano tylko dzienniki i czasopisma wychodzące za kordonem, a zwłaszcza te, które niejako trzymają rękę na tętnie życiowem społeczeństwa we wszystkich jego dziedzinach i przejawach (że przytoczymy tu najważniejsze z nich jak np. *Głos*, *Prawda*, *Przegląd tygodniowy*, *Biblioteka warszawska*, *Przegląd filozoficzny* i wiele innych), mogliby mieszkańcy Galicyi choć teoretycznie dojść do pewnej znajomości tamtejszych spraw. Ale w Galicyi szkoda na to czasu. Wszak ciekawsze rzeczy przynoszą rozmaite „Blatty“ wiedeńskie.

Jeszcze bardziej zasługującem na potępienie jest postępowanie samejże prasy galicyjskiej wobec Polski za kordonem. Obojętność ta wobec 9 milionowej ludności bratniej posunięta jest bardzo daleko, tak, że więcej niż połowa gazet codziennych, wychodzących we Lwowie lub Krakowie, nie umieszcza z zasady korespondencyi z Warszawy, ani też obszerniejszych wiadomości o stosunkach tamtejszych. Dopiero gdy jakiś więcej bydlęcy gwałt rządu carskiego wydrze okrzyk protestu z piersi udręczonego społeczeństwa i przedrze się za kordony, piszą i w Galicyi o tem, ale w jak najskromniejszych rozmiarach, a te same dzienniki, które prześcigają się w pospiechu, gdy chodzi o szczegóły podróży jakiejś głowy ukoronowanej lub o dokładne sprawozdanie z „wyścigów“, urządzanych przez wielkich ludzi z rozmiękłymi mózgami, nie mają jednej szpalty wówczas, gdy rząd carski urządza masowe strzelanie polskich robotników, lub prowokuje naród stawianiem pomników szubrawcom.

To systematyczne ignorowanie przez prasę galicyjską, wszystkiego, co się dzieje wśród Polaków za kordonem, to ubliżające traktowanie spraw zakordonowych sposobem kronikarskich, obojętnych wzmianek, doprowadziło do tego, że dzisiaj łatwiej można dowiedzieć się czegoś o stosunkach w Królestwie z gazet niemieckich, a nawet francuskich, niż z rozmaitych „narodowych“ i „polskich“ dzienników galicyjskich. To doprowadziło do tego, że dzisiaj przeciętny Galicyanin (który zresztą wyzwałby każdego, ktoby się odważył zakwestyonować jego polskość) dokładniejsze ma pojęcie o tem n. p., czy Dreyfus słusznie siedzi na wyspie Dyabelskiej, jak o tem, co robią, do czego dążą, co cierpią i czem się weselą miliony jego braci pod rządami cara, a najżywotniejsze kwestye społeczeństwa polskiego w Królestwie, są dla niego bajką o „żelaznym wilku“.

Pod jednym tylko względem większość prasy galicyjskiej zachowuje stosunki z prasą zakordonową, ale te są natury bardzo problematycznej, ze względu na ich wartość moralną. Stosunki te ograniczają się wprost do „ściągania“ poszczególnych ustępów, a nawet rozpraw całych i artykułów i przesiedlania ich na łamy własnego pisma, przyczem unika się starannie wzmianki o źródle, a to w imię zasady zupełnej wolności prasy, która tu święci swoje tryumfy.

Poświęciliśmy więcej miejsca prasie, gdyż bądź co bądź stanowi ona w życiu dzisiejszych społeczeństw bardzo ważny czynnik, a tem więcej w społeczeństwie polskiem. W niej koncentruje się, odźwierciedla i przetwarza to wszystko, co stanowi rozwój umy-

słowy, moralny i polityczny nowoczesnego społeczeństwa i zamknijmy dzisiaj prasę jakiemukolwiek z cywilizowanych narodów, a unicestwimy jego rozwój duchowy, zabijemy wprost jego egzystencyę.

Jedynym, rzeczywistym łącznikiem zaborów jest tylko najnowsza literatura polska, która znakomicie się rozwinęła w Królestwie. Dzieła Sienkiewicza i Orzeszkowej, Prusa i wielu innych, zyskały sobie równą popularność na całym obszarze ziem polskich. Ale i tutaj, chociaż objaw taki mógłby być bardzo korzystnym, w rzeczywistości nie ma w sobie nic pocieszającego, gdyż utwory te czytuje nieliczna stosunkowo inteligencya, a całe masy ludowe mniej albo więcej uświadomione, rzucone na pastwę nędzy materyalnej i ubóstwa umysłowego, nawet nie słyszą o żadnym z tych pisarzów, zniewolone fatalną walką o byt, zasklepiają się w zatęchłym partykalaryzmie. Zresztą nawet inteligentni ludzie w Galicyi, gdy czytają „Sienkiewicza" czy „Prusa", nie czują na pewne tego, co jedynie powinno ich serca poruszyć i dumą napełnić, co ich powinno „dźwignąć i uszczęśliwić", że wspaniałe talenty Sienkiewicza i Prusa i wielu innych, to potężna siła twórcza ich narodu, to niespożyty zapas życia i sił rozwojowych społeczeństwa, do którego należą, to protest przeciw grabieży... Te kilkanaście tysięcy czytających i zachwycających się cudownymi obrazami literackich arcydzieł, nie doznają tej otuchy, że naród ich, jeśli niczem innem to choćby tą siłą, tą potęgą swojego ducha, swojej kultury i cywilizacyi, zmiażdży i zmiażdżyć musi politycznych uzurpatorów.

Podobnie jak z Królestwem, zerwała Galicya i z Poznańskiem, co tem charakterystyczniejsze, że komunikowanie się jest tu daleko łatwiejsze. Lecz najfatalniejsze skutki pociąga za sobą oddzielenie się obu dzielnic od Królestwa, gdyż tam z natury rzeczy leży punkt ciężkości myśli, życia i... czynu polskiego.

Wskutek takiego zasklepienia się, wskutek takiego oderwania się moralnego i umysłowego, zarysowały się już zasadnicze różnice między temi trzema częściami Polski, a różnice te zamykają się w odmiennych celach i dążnościach społeczeństw tych krajów polskich, które zostały wcielone do odrębnych mocarstw. W takich warunkach o jedności, o solidarności narodowej mowy być nie może, natomiast występuje coraz wyraźniej znamienny rys o bardzo szkodliwych na przyszłość następstwach, wytwarza się partykularyzm narodowy, obok istniejącego już sztucznego partykularyzmu politycznego.

Przyzna każdy, choć najbardziej obojętny, że takie rozerwanie żywego narodu na odrębne organizmy, taka rozbieżność celów tam, gdzie trzeba skupionej działalności i wytworzenia jak największej siły odpornej, musi przynieść nieobliczone szkody. Z drugiej strony jasną jest rzeczą, że jeżeli jest źle, to „niechaj żywi nie tracą nadziei", ale przeciwdziałają złemu. Spodziewać się inicyatywy lub pracy w tym kierunku od społeczeństwa galicyjskiego, które w połowie przynajmniej składa się z filistrów, lub manekinów — nie można, ale mogą stanąć do apelu młodzi, bo do nich przyszłość należy.

Wprawdzie ten zgubny partykularyzm galicyjski wycisnął swe piętno także i na młodzieży, ale nie u wszystkich jeszcze przytłumił energię, zapał i zdolność do poświęcenia. Zapyta może niejeden chętny do pracy, w jaki sposób ma działać i od czego zacząć. O, dla takiego stoi otworem nie jedna, ale setki dróg. Ot weźmy choćby taki przykład. Znaczna część młodzieży, opuszczająca mury szkół średnich w Galicyi, odbywa dalsze wycieczki dla odetchnięcia po kilku latach nauki, po trudach szkolnych i niedospanych nocach i, jak to zwykle mówią, dla „zobaczenia świata". Gdyby też się jechało poza granice Austryi, byłoby to może z większą korzyścią, ale ponieważ na tak daleką podróż brak środków, kończy się zwykle na sąsiednich „krajach koronnych", a miasta Wiedeń lub Budapeszt, są upragnionym celem podróży. Tam widzi się między wielu innemi osobliwościami egoizm i brak p święcenia, dumę plemienną i pewność siebie, z któremi zazwyczaj idą w parze lekceważenie i pogarda obcej narodowości — ale z drugiej strony widzi się także dobrobyt i oświatę i wyższą kulturę. I jakiegoż uczucia doznaje się wracając do domu?!.. Dokoła nędza i upadek, ciemnota ludu i upodlenie możnych, wyzysk i korrupcya, a w dziedzinie myśli nietolerancya, średniowieczny obskurantyzm i niewola ducha! Więc ściska się serce na widok tego wszystkiego, ale też równocześnie sączy się w siebie jad lekcewa-

żenia i obojętności dla całego otoczenia, a mimowoli obudza się jakiś niemy podziw i cześć dla obcych bogów. Niech nikt nie myśli, że chcemy propagować szowinizm narodowy, jeden z najwstrętniejszych objawów zwyrodnienia narodowego, ale wierzymy, że gdyby ta młodzież — która co roku wyjeżdża bić pokłony przed zdobyczami germańskiej lub jakiej innej cywilizacyi — porzuciła niedorzeczne mniemanie, że Polska kończy się tam, gdzie się zamykają granice jednej austryackiej prowincyi i skierowała swe drogi do Warszawy, Wilna, Łodzi, Poznania, poznała tę Polskę całą, prawdziwą, wielką, te ziemie tak bogate i piękne a tak nieszczęsne — to zapewne nie wracałaby do domu z uczuciem upokorzenia lub niższości, ale dopiero nabrałaby poczucia godności własnej, nauczyłaby się kochać i cierpieć za miliony! Tam dowiedziałaby się, że nietylko „cywilizowany zachód“ stwarza kulturę, ale rzecz znamienna, stwarza ją także naród, który każdej chwili musi strzedz najdroższych posterunków życia, któremu starają się zatruć każdy atom powietrza, którem oddycha. Tam zobaczyłaby, że najbardziej nowożytne objawy życia społeczeństw europejskich, wielki przemysł fabryczny i wyradzający się z niego zabójczy kapitalizm nowoczesny — jej naród skazany na zagładę, zdolny jest wytworzyć siłą własnej żywotności!

Ta młodzież oczywiście musiałaby także poznać ten wiecznie tlejący ogień podziemny, który podminowuje carat. Widziałaby, jak ludzie za sprawiedliwość, za swobodę, za współczucie dla nieszczęśliwych gniją w więzieniach lub gnani są po bezbrzeżnych obszarach syberyjskich. Poznałaby, lub raczej odczuła całą duszę, tę prawdziwą „Polonia irredenta“, której całą treść zdaje się wypełniać jedno słowo: p o ś w i ę c e n i e. I z czasem doszłaby ta młodzież do przekonania, że w walce słuszności z gwałtem, serca z zimnym egoizmem, dobra ze złem, może wprawdzie chwilowo gasnąć, lecz ustać nigdy nie może. I jeśli wszystko zawodzi i opuszcza, to krew łagodzi, wyrównywa i oczyszcza to wszystko, co naniosły przemoc i bezprawia.

S. O.

Maurycy Zych.

Aby uwydatnić fizyonomię duchową jakiegokolwiek pisarza, należy odrzucić wszystko, co jest mu wspólnem z innymi, a wyszczególnić i podkreślić te zasadnicze rysy, które tylko jemu są właściwe, które się specyficznością swoją najbardziej rzucają w oczy i wrażają w umysł czytelnika, należy uchwycić nerw, przebiegający przez cały szereg jego utworów, odczuć atmosferę, którą on te utwory przepaja, znaleść podobieństwo motywów, w których on szuka natchnienia twórczego i sposobności do wypowiedzenia się, i w ten sposób jego indywidualność artystyczną i ludzką w pewną zrozumiałą i określoną ująć formułkę.

Otóż uczucia, z których Zych się w swych obrazkach z ziemi mogił i krzyżów wypowiada, są w treści i formie zewnętrznego wyrażania się na wskróś uczuciami współczesnych młodzieńczych dusz, chociaż przedmiotami są one niezmienionem dziedzictwem, otrzymanem w spadku już przez piąte pokolenie w Polsce, które na swój sposób toczy zaciętą walkę o wolność, rzucone na łup wyszkolonych wiekowem ćwiczeniem zaborczych instynktów i na pastwę skomplikowanych, okrutnych rozterek duchowych.

Pod przekleństwem zatem niewoli moskiewskiej urodzili się Zych i jego bohaterowie z pod panowania knuta. Żyją oni bezustannie pod przygnębiającym obuchem kolosalnej potęgi państwa północy, wyposażonej w wszelkie zewnętrzne środki gwałtu i terroru, posługującej się brutalnym uciskiem i bezwstydną przemocą w eksterminacyjnej walce z żywiołem polskim. Ten gmach olbrzymi, wytrzymujący stuletnie próby wysadzenia, budzi w urodzonych skazańcach i katorżnikach, beznadziejną rozpacz umysłów. — Udaremnionych tysiąc wysiłków, bezowocne ofiary, poświęcenia, prześladowania i ustawiczny pościg za każdym przejawem myśli polskiej, wytwarzać musi w wrażliwych jednostkach pewnego rodzaju melancholję, odrazę do wszystkiego, cokolwiek się wszczyna, a jednocześnie chorobliwą i bezradną nadwrażliwość na ludzką niedolę, która nęka co godzinę, codziennie, wszędzie toczy duszę i równa się jakiemuś nieprzerwanemu szarpaniu żył. Choroba ta pokazuje nicość systematu myślenia, idei, ukochań, prac w pocie czoła, w zapar-

ciu się siebie, w obeldze i potwarzy, bohaterstw cicho spełnionych, jak zbrodnie, poświęceń tajemniczych, — uczy, że jeden jest pewnik nieomylny, jeden cel i wynik wszystkiego „pożałujtie w żandarmskuju“. Światem Zycha, jego zdarzeniami i losami kieruje jakieś nieubłagane, okrutnie despotyczne bóstwo niewoli; carat jest jego opatrznością. Ten wróg, łowiący każdy głośniej wypowiedziany wyraz, pochwytujący każdy giest żywszy i ruch swobodniejszy, szpiegujący na każdym kroku i zda się wszechobecny, odgrywa w nowelach Zycha pierwszorzędną rolę a jest on tam zawsze, jakby niewidzialnie ukrytym za kulisami reżyserem, wpływającym pokryjomu na bieg zdarzeń, czasem jakby widz obojętny, swą obecnością hipnotyzujący mózgi i serca, czasem jak okrutnik pastwiący się nad jeńcem, którego wbijają na pal, niekiedy jak kot drapieżny, rzucający się na ofiarę znienacka na piersi, a zawsze jest to bezwzględna, ubezwładniająca potęga, która działa z pominięciem wszelkich kodeksów sprawiedliwości czy miłosierdzia a wyrokuje bez odwołania, jak samo brutalne życie, siejąc bezprawie dokoła, zatratę i krzywdy.

Z tym przemożnym wrogiem toczą „bohatersey ideologowie z profesyi“ Zycha zaciętą, uporczywą walkę na śmierć i życie. Ma ta walka i wygląd inny i innymi posługuje się środkami obrony, niż dawniej.

Przedewszystkiem jest ona u Zycha niemal uduchowioną. Terenem jej już nie są pobojowiska i nie szeroka arena życia społecznego, ale dusze polskie w ich codziennych, gnębiących rozterkach, w krwawych konfliktach nerwowo przeczulonego sumienia z atakami sobkostwa, gnuśnej małoduszności, egoizmu. Nie jest to fizyczny bój oko w oko na polach walki, gdzie się padało bohaterską śmiercią z zaszczytną raną na piersi, ale zmaganie się z jakąś abstrakcyą, z widmem, z całym systemem niewidzialnie oplatających, pojedynczych sieci, z chytrze-genialnie obmyślaną strategią demoralizacyjnych i rozkładczych czynników, które działają zwolna i cierpliwie, ale stale, jak kolejnemi dawkami wszczepiany jad w organizm, jak gryzący ług, jak pył niezdrowy, który się osadza na płucach.

Walki powstań, które zawsze miały charakter narodowego święta, przekształciły się u Zycha w zażarty, ale bezbarwnie szary trud powszedniej pracy; nie daje ona już widowiska tytanicznych zapasów pasujących się żywiołowo cyklonów w dziejowej zawierusze, ale jest jakby monotonnie cierpliwem, natrętnie świdrującem działaniem mikrokosmicznych sił przyrody, jakby tarciem wzajemnem molekuł, jakby powolnem toczeniem miąższu drzewnego przez czerwie. W usiłowaniach, na jakie ta walka skazuje, jest „jakby wysiłek źdźbeł, pragnących wtargnąć z boków szosy na środek, wedrzeć się na warstwę ubitego gruzu; lub drobnych roślinek, korzeni, które w głębi gruntu macają pracowicie ostre brzegi potłuczonych kamieni i które wtłoczone w glebę, niestrudzenie roją się pod stopami tratującymi idących w poszukiwaniu dróg swych i soków. Wiekuista praca istot i ciał nieznanych i bezimiennych!“

Rzadko tutaj spotkamy się z fizycznem bezpośredniem zetknięciem się prześladującego żywiołu moskiewskiego z prześladowanym polskim. Jeśli jest, to tworzy ono tylko konieczny komentarz, niby podmalowane tło drugoplanowe. — Cała zaś walka jest rzuconą w duszę ludzką. Nie interesuje Zycha owa znana zresztą z literatury martyrologia, w której oprawcą jest żandarm rosyjski, ale wewnętrzna tragedya szarpiących się duchów, gdzie katem i zarazem torturą jest sumienie i przekonanie jednego i tego samego człowieka. W tem leży nadzwyczajna współczesność Zycha jako psychologa i owe szerokie perspektywy ogólno ludzkiej etyki, które on nam, moralista do szpiku kości, z instynktu otwiera, odsłaniając codzienne mozoły, uznojenia i łamania się narodowej myśli! Przeniósłszy w ten sposób środek ciężkości polsko-moskiewskich stosunków w dusze polskie, główną wagę położył Zych na owe piekące zagadnienie, jak umysły nasze, wolą niezliczonej ilości wpływów, wkraczających aż w dziedziny prywatnego życia, z jednej strony, a przyjętych na siebie obowiązków pielęgnowania uczuć narodowych z drugiej strony się zachowują, jakim ulegają przeobrażaniom, kiedy z tej walki wychodzą zwycięsko, a kiedy ponoszą klęskę, jak zahartowani w szkole prześladowań, pozostają wierni ideałom, lub jak złamani naciskiem z zewnątrz tracą szlachetny grunt pod nogami, i zbywają się już nietylko narodowej ale i osobistej, ludzkiej godności, schodzą do rzędu spodlonych helotów. — Bo przemoc moskiewska znajduje

w urodzonym egoizmie natury ludzkiej, w jego instynktach samozachowawczych, sprzymierzeńca roztropnego i chytrego. Na poczekaniu skonstruuje on filozofię ludzi rozsądnych, podyktowaną przez strach wielkooki, eufemistycznie rozumem stanu zwany i powie, że „bojaźń, to cnota i honor,“ że choćby postawiono kij i kazano mu bić pokłony, to obowiązkiem jest słuchać kija rozkazów. Ów trzeźwy, stateczny, praktyczny, łokciowy rozum podaje się na jurora w pojedynku uczuć narodowych z przemocą moskiewską i rzuca gałkę na szalę ważącego się zwycięstwa.

Dla Zycha walka moskwicyzmu z polskością jest tylko odłamem wielkiego boju dobra ze złem; wszystko co jest szlachetne i piękne, moralne w naturze ludzkiej staje zawsze po stronie pokrzywdzonej. Tak kwestyę narodowego bytu zamienia Zych w problem moralnego znaczenia.

W tym boju o zachowanie istoty narodowej strona pokrzywdzona u Zycha ma tylko w obronie swej opór, zacięty oschły opór chropawych granitów, który najgwałtowniejszym zapędom i zakusom rusyfikacyi żelazne czoło stawia, przeważnie zachowuje się biernie, a z desperacką zuchwałością determinacyi strzeże zagrożonych posterunków życia narodowego i o każdą piędź niepodległej buntowniczej duszy polskiej zaciekłe, śmiertelne stacza boje. Jest to opór twardych granitów, które pod lodowcami „niezmiernie głęboko, niby dyamenty rżną kryształy posuwających się lodów, szlifując kamień przez całe wieki, drążąc otwory, żłobiąc rowy“. W niezdobytej fortecy narodowej odrębności walczą i padają na szańcach żołnierze dziwnej załogi. Skrycie milczące, lakoniczne półsłówka haseł szeptem wymieniają ze sobą; porozumiewają się gestem i błyskiem spojrzeń; nie pozwolą sobie nigdy na głośniejszy wylew uczuć rozpierających ich piersi, aby ujść uwadze placówek nieprzyjacielskich, bez skargi kochają, i cierpią, nie protestują, nie klną i nie złorzeczą, swych bolów nie wykładają na widok publiczny, zrzekają się przywilejów owej estetyki narodowej, która każe stawać na koturny i deklamować kwieciście o narodowej niedoli, ale zaciskają pięście i zagryzają do krwi wargi; czasem wymknie się im z ust, jednosłowne, charczące nienawiścią przekleństwo, czasem bluźnią Bogu, a czasem z oczu wypłynie im łza, cicha i rzewna, którą wstydliwie szybko i ukradkiem ocierają. — Są to romantycy, którzy przeszli metodyczną szkołę pozytywizmu; zapaleńcy, którzy swój szampan postawili na lód, by ochłódł; nauczyli się sentyment tkliwy chować pod korzec i pozują na zimnych, nie umiejących współczuć ani rozczulić się teorytyków i egoistów. Im samym własna ich szlachetność i zaparcie się siebie, ofiarność i gotowość poświęceń, wydaje się czemś śmiesznem i nienaturalnem. I wstydzą się przed sobą samym. Jest to bardzo współczesne. Nie stroimy się dziś w tragedyę, jak w płaszcz hiszpański, aby nadać sobie pozę nieszczęśliwych; kiedy mamy płakać, wychodzimy z pokoju, gdzie są ludzie; robiąc dobrze, skrylibyśmy się ze wstydu w mysią dziurę, wynajdujemy tysiączne motywy, wysilamy się na moralną dyalektykę sofizmatów, aby dla naszych uczynków a posteriori egoistyczne wynaleść motywy, bo w samem marzeniu naszej młodości nabyliśmy doświadczenia zrezygnowanych starców, bo mamy przeraźliwą znajomość natury ludzkiej i zdaliśmy sobie dokładnie sprawę z tego, co w świecie nazywa się szlachetnem i pożytecznem, a co złem i szkodliwem. Przyzwyczailiśmy się z biegiem lat do tego, my, a cóż dopiero nasi towarzysze broni z za kordonu, że nam nasze najlepsze instynkta gwałci się i wypacza, a to cośmy gorąco ukochali i co uważamy za świętość, świętokradczo się depcze i poniewiera. Mamy więc fałszywy wstyd przed ludźmi i nie chcąc się narażać na upokorzenie, udajemy cyników doktrynerów, drwiących ze wszystkiego, co piękne i szlachetne, obojętnych na cnotę i występek. „Na wszystkie głupstwa tego świata, na jego plugawą złość i nikczemną przemoc spoglądamy z niedbałym uśmiechem i potrafimy wyraźnie objaśnić, dlaczego jest tak, a tak, jakbyśmy rozwiązywali zagmatwane zadanie algebry“.

Za to tem głębiej nam się wżera w duszę owe tajemne męstwo buntu, owa bezwładna wściekłość, która dusi i rozpacz, która tchu nie pozwala złapać.

Ten stan duchowy jest normalnym stanem uczuć Zycha i jego bohaterów. Sprzeczność ich rzeczywistego stosunku do świata pod powierzchnią duszy, a fałszowanie uczuć i przekonań na zewnątrz, wytwarza ów ostry, sarkastyczny humor wisielca, który jest ostatecznym, a niebezpiecznym wytworem przewrotów duchowych, skrępowanego dłonią

życia, zawiedzionego w swych iluzyach doktrynera idealizmu. Ten rodzaj śmiechu, który się do szyderstwa tak przyzwyczaja, że traci poczucie granicy, z czego mu drwić, a z czego mu drwić nie wolno, jest chorobliwym spazmem i z czasem od niego twardnieje serce i myśl dochodzi do wrót obłędnej apatyi, dostając wstrętu i odrazy do wszystkiego, co tylko boleśnie ukochaną sprawę dotyka, a może zadrasnąć otwartą, ciągle jątrzącą się ranę. Humor taki właściwy Zychowi sprawia wrażenie, jakby ktoś komu garściami włosy wydzierając, śmiał się do rozpuku, a czytelnik doznaje wrażenia, jakby mu autor „zagiął palec pod żyłę krwionośną u jego piersi i wydzierał ją na zewnątrz“.

Ta ironia, dobywająca syk bolu z ust czytelnika, jest zasadniczym rysem psychiki Zycha. Idealiści jego utworów, są jak słusznie zwrócił na to uwagę p. Sten w „Krytyce“, opętani przez bóstwo, któremu nie wierzą i którego może nie czczą nawet. Są oni pod przymusem dogmatów obowiązku i idą ślepo odruchowo drogą poświęceń z jakiegoś wewnętrznego, despotycznego nakazu sumienia, który nie zna oporu, skrupulatnie przetrząsa dusze zapaleńców, z szyderstwem zagląda im w oczy, grzebie w ich myślach przelotnych i znalazłszy w nich czasem chwasty, wydobywa je na jaw na pośmiewisko słabej i nikczemnej, mimo wszystko, ich natury, pleniąc owe plugawe zasady i owe podłe myśli pętające nogi, jak zielska.

W ten sposób bez litości drwi nieraz Zych z swoich bohaterów, kiedy w nich obudzi się w chwili przygnębienia, bojaźń okrutna, która „ogarnia jak powietrze, czyha za każdym węzłem i wiecznie grozi, kiedy błyśnie im jakaś tchórzliwa okrutnie myśl, pędząc im krew do twarzy goryczą i wstydem i jad podłości szczepiąc w żyłach“...

Tym ludziom, którzy przemocy moskiewskiej i własnej podłości opierają się ze wszelkich sił, nie daje nawet Zych pewności czy ich osobiste poświęcenie się na coś przyda, czy się przyczyni do osiągnięcia upragnionego celu, owszem mają oni zbyt często owo szatańskie zwątpienie, w którem bluźnią, że cała ich szlachetność to urojenie, któremu brak rzetelnych podstaw, że to systemat logiczny, chorujący na brak uzasadnienia. Wtedy mają oni na ustach gorzkie urąganie z szczytnego idealizmu i wiary w posłannictwo swojej idei.

Nierówną walkę z potężnym wrogiem, porywanie się słabych na wydłubywanie cegły, osadzonej w fundamentach gmachu, traktuje Zych nieraz przez piołunowe łzy humorystyczne, a ustawicznie podstępny, obłudny i oszukańczy wobec wroga nastrój umysłu, ustawicznie zadawany sobie gwałt sumienia, owo pozorne korzenie się i ugięcie pod jarzmo pogodzonego ze stanem rzeczy, a kipiący bunt, skryty i tajemny w sercu, nastręcza mu dalszej treści do jego satyrycznego, zgryźliwego usposobienia.

Ale ta ironia jest także strasznem narzędziem w jego ręku i daje mu niesłychaną wyższość wobec wroga. On drwi sobie również ze wszelkich wysiłków zaborcy, lekceważy tryb jego podbojów, a uzbrojony w szyderstwo ostre i zatrute jak sztylet, bagatelizuje wszelkie, syzyfowe usiłowania rusyfikacyi.

Na wszystkiem zaś, co nikczemne płaskie i niskie, wywiera w ten sposób brutalną zemstę. Jakaś radość przebija się w tej satysfakcyi, z jaką on ujemne typy w swoich utworach przedrwiwa. Nie przedstawia on tych ludzi plastycznie, ledwie, że ich bliżej poznamy, ale każe nam się z nimi spotkać, chwyta go, jak się sam wyraża, „paroksyzm ujemnej rozkoszy, tego dygotania całej duszy ze złego uśmiechu, co jakby wyrabia w gruczołach podusznych nadmierny zapas śliny“. Nie opisuje on tych ludzi, ani ich sposób myślenia, ale pluje im w twarz, rozdaje policzki i ciska im brutalne grubiaństwa w oczy.

Tak żółć i ocet daje nam Zych — do picia w swych utworach, a ta piołunowa gorycz, która zrazu krzywi usta, ma jednak w sobie coś chorobliwie pociągającego. Po przeczytaniu kilku ustępów czujemy, że odtąd nie jesteśmy już panami siebie i że od tych kart, z których wieje głucha, niema, a mściwa rozpacz, oczu nie oderwiemy, chłostani zjadliwą jej ironią, rozgorączkowani jej nienawiścią i miłością, z oddechem, zapartym duszącą atmosferą życia, którego epizody mamy wraz z autorem przeżyć.

Tak, to Zych jedyny potrafił ze współcześnie po polsku piszących znaleść odpowiedni, męski wyraz szczerego patryotycznego bólu; z przedziwną przenikliwością odkrył drogę do tego, gdzieś w czeluściach duszy

ukrytego nerwu, który długo nieruszany zdawał się już utracać wrażliwość i zdolność reagowania na krzywdy ludzkie i niedolę ojczystą. To jest jego tytuł do sławy i to jego stanowisko pierwszorzędne we współczesnej literaturze, że tym osłabionym nerwem zatargał z taką mocą, z jaką wiatr ugina pod jesień odarte z liści, zczerniałe rokiciny i że uczuciom patryotycznym pokolenia, wychowanego po epoce, „w której wydawało się wszystko programem do ostatniej nitki i ostatniego westchnienia wolnego“, dał wyraz im właściwy, odrębny i charakterystyczny. Tem tłumaczy się to uwielbienie, z jakiem go młodzież, jako reprezentanta swej sfery powitała. Jest on bowiem kość z jej kości i krew z jej krwi, a czytelnik jego utworów przechodzić musi udręczenie, zgryzotę i zwątpienia, jakiemu ulegały i ulegają młode serca polskie, narażone na niebezpieczeństwo owej dziwnej choroby „nosacizny ducha“, wyniszczającej organizmy psychiczne tysięcy jednostek. Ale jest w tej lekturze jakby rząd trucizn, które wypalają pleśń z przedwcześnie przejrzałych dusz i jakby bezlitośna chłosta sumienia, które się z odrętwienia budzi, szuka na oślep jakichś nowych dróg ratunku i widzi się nagle w dziwnie przymusowym położeniu, że jakby zahypnotyzowany wolą magnetyzera przysięga na życie i śmierć „malgré tous“, mimo wszystko, służbę narodowym ideałom.

Ostap Ortwin.

O konstytucyi 3-go maja.

Część II.

Konstytucya 3-go maja jest faktem epokowym w dziejach Polski.

Ustawa 3-go maja była przewrotem, zamachem stanu, dokonanym przez pewną część społeczeństwa i króla przeciw możnowładztwu i anarchii na korzyść średnich warstw i ludu; była r e w o l u c y ą[2]), uwidoczniła, że zaszła zmiana w ustosunkowaniu się sił społecznych w Polsce, że n o w a warstwa — mieszczaństwo budziło się do życia politycznego i że następował kres wyłącznemu panowaniu szlachty.

Upadający gmach Polski szlacheckiej wymagał gruntownego przebudowania w państwo nowożytne. Od drugiej połowy XVIII w. coraz silniej objawiała się w Polsce potrzeba reform; nawoływania patryotów „O poprawienie rzeczypospolitej“ zaczynają znajdywać coraz szerszy oddźwięk. Powstaje stronnictwo reformy. Ale równocześnie m o c a r s t w a o ś c i e n n e, czyhające, jak kruki na żer, na upadek Polski, by rozszarpać ją na części, u s i ł u j ą n i e d o p u s z c z a ć w P o l s c e d o r e f o r m, które mogłyby wzmocnić słaby organizm Polski i wyratować państwo od śmierci. Dnia 11 kwietnia 1764 powstaje pomiędzy Fryderykiem II. i Katarzyną II. przymierze, tajne zobowiązanie się wzajemne obu stron do tamowania reform w Polsce, do zniweczenia, w potrzebie nawet siłą oręża, wszelkiej myśli, zmierzającej do zmiany konstytucyi rzeczy pospolitej i praw jej kardynalnych[3]).

Społeczeństwo polskie czekało tylko odpowiedniej chwili, aby „prawa kardynalne“ zmienić, odpowiednio do ducha czasu i potrzeb państwa, i znieść przestarzałe i szkodliwe prawa, pomimo gwarancyi moskiewskiej i pruskiej ich nienaruszalności.

W 1788 r. dzięki pomyślnej konstelacyi politycznej (wojna Rosyi z Turcyą i naprężone stosunki pomiędzy Rosyą a Prusami) można było pomyśleć w Polsce o przeprowadzeniu reform zbawiennych, bez sprowadzania przez to na kraj zemsty wrogów: wojny i nowego podziału.

Pierwszą myślą każdego patryoty była stworzenie silnej armii, w interesie obrony narodowej. 1788 r. gromadzono się na obrady Sejmu w tym celu głównie, aby dokonać aukcyi wojska, załatwić sprawy bieżące

---

[1]) S t a n o w i o d d z i e l n ą c a ł o ś ć.

W pierwszej części (patrz „Promień“ Nr. 5) streściłem, podług prof. Balcera, Historyę ustroju Polski, przeprowadziłem jego podział Historyi na okresy, zatrzymując się najdłużej na okresie t r z e c i m (od końca XV w do konstytucyi 3-go maja) nazwanym przez prof. Balcera: okresem Rzeczy pospolitej szlacheckiej“.

[2]) Współcześni konstytucyi 3-go maja, tak jej twórcy, jak również jej przeciwnicy stale ją nazywają rewolucyą (Patrz listy króla, współczesne broszury i dokumenty dziejowe).

[3]) Artykuł tajny tego traktatu opiewa wyraźnie: niedopuszczanie do reform w Polsce w s z e l k i e m i ś r o d k a m i, w potrzebie nawet siłą oręża (en cas de besoin, recours a la force des armes) jest w interesie króla pruskiego i carowej (il est de l'intérest de sa majesté le roi de Prusse et de sa majesté l'imperatrice de toutes les Russies).

i znieść Radę nieustającą, znienawidzoną dla wpływu, jaki na nią wywierała ambasada rosyjska. Ale te sprawy, uchwalenie kompletu wojska do 100 tysięcy i zniesienie Rady, obie dokonane w początkach sejmu, pociągnęły za sobą ważne następstwa: dla wojska trzeba było zreformować system podatkowy, w miejsce Rady trzeba było utworzyć nowy rząd. Praca nad temi reformami dotknęła szeregu innych pytań i objęła niebawem kwestyę całej organizacyi społecznej i politycznej Polski[1]).

Nie mam zamiaru oceniać tu reform społecznych i politycznych konstytucyi 3-go maja[2]).

Mamy względnie dość bogatą literaturę, poświęconą konstytucyi 3-go maja; na pierwszem miejscu należy postawić z broszur popularnych, cenną pod względem naukowym broszurę prof. Balcera „Reformy społeczne i polityczne konstytucyi 3-go maja“.

Niestety nie mamy ani jednej pracy, gdzie w sposób bezstronny a popularny było by przedstawiono: w jaki sposób została przeprowadzona konstytucya 3-go maja i jaka była przytem rola budzącego się do życia politycznego, mieszczaństwa?

Dać odpowiedć na powyższe pytania jest celem niniejszej rozprawki.

Najbardziej rozpowszechniony jest fałszywy pogląd na reformy sejmu czteroletniego, przedstawiający rzecz w ten sposób, jak gdyby stan szlachecki

Sam się z władz swych porozbierał.
Narodowi pootwierał
Przyszłe, wielkie bytu niwy.

Wiadomo jednak z historyi, że jeszcze nigdzie w świecie żadna klasa społeczna, jako całość, nie zrzekła się dobrowolnie swego uprzywilejowanego stanowiska w społeczeństwie; tylko wyjątkowe jednostki, w rodzaju szlachcica Mirabeau, rzecznika praw 3-go stanu, tylko nieznaczna mniejszość potrafi ponad interes swej klasy postawić wyżej interes szerszych mas narodu.

„Ofiarność szlachty“ jest ładną bajką dla grzecznych dzieci, ale drwi z niej nawet ksiądz Kalinka.

„Sejm zdecydował się wspaniałomyślnie, pisze Kalinka (str. 354), na pociągnięcie dóbr szlacheckich do podatku dziesiątego grosza, lecz wyznanie tej dziesięciny pozostawił samymże opodatkowanym. Wyznanie zawarowane było przysięgą i przyniosło — część milionów, które wystarczyć miały na opłacenie 100 tysięcy wojska“. „Są miliony, mówi pamflet współczesny (wiersz Trembeckiego), gdzież są? — w każdego kieszeni.

Nikt nam przeczyć nie będzie ni rządu ni męstwa. Ni wspaniałomyślności... prawda! ni krzywoprzysięstwa“. Pomimo ciemnoty tłumu szlacheckiego intryg moskiewskich i rubli i wichrzeń kilku możnowładców, garść zdecydowanych patryotów, opierając się na niedostatecznie wyrobionym i politycznie słabym żywiole, jakim było wówczas polskie mieszczaństwo, potrafiło zreformować ustrój Polski i ogłosić konstytucyę 3-go maja.

Twórcy konstytucyi 3-go maja byli genialnymi ludźmi. Pierwsze miejsce pomiędzy nimi zajmuje bezsprzecznie Hugo Kołłątaj. „Kołłątaj był pierwszym w Polsce, pisze Wegner (Dzieje 3-go i 5-go maja. Poznań nakładem Tow. przyjaciół Nauk 1865), który mieszczan i ludu, szczególnie warszawskiego,

---

[1]) Ksiądz Kalinka, jako konsekwentny konserwatysta nie pochwala sejmu czteroletniego i twórców konstytucyi 3-go maja. Zdaniem ks. K. „Roztropnie był by sejm uczynił i dobrze by się narodowi zasłużył, gdyby poszedł za tą radą królewską (str. 568) „t. j. radą tylko pomnożenia wojska bez usuwania ulegającej wpływom moskiewskim Rady nieustającej, zwanej przez patryotów „Zdradą nieustającą“.

Obalenie Rady nieustającej oburza do żywego ks. Kalinkę, który z tego powodu wpada w patos oburzenia i pisze co nast. Stara to zawiść do króla, wstręt do swojego (!) rządu, zakorzeniony oddawna, lśniącym pokostem patryotyzmu pomalowany na nowo i przez zdradnego ośmielony sąsiada, popchnął sejm na tę drogę rewolucyjną. Utraciwszy legalną podstawę, sejm stracił zarazem takt i miarę w postępowaniu (sic!) i tak dobrze potrzeb kraju jak niebezpieczeństw mu grożących przestał rozumieć“ (str. 571).

O odczytaniu niepokojących depesz nasesyi sejmowej w dniu trzeciego maja, dla zwrócenia uwagi na grożące niebezpieczeństwo i wskazania na potrzebę natychmiastowego ogłoszenia ustawy (konstytucyi) 3-go maja, ks. Kalinka wyraża się w nast. sposób: „Mniemano, że najszykowniej będzie przerazić opinię (str. 72). — Ten kpiący wyraz „najszykowniej“, — zdaniem K. Bartoszewicza (Księga pamiątkowa setnej rocznicy 3-go maja (str. 261 t. I.) nalepiej maluje uczucia Kalinki względem twórców 3-go maja“.

[2]) Oceniać je można tylko ze stanowiska historycznego, uwzględniając czas i warunki w jakich powstały.

za sprężynę do dopięcia zamiarów politycznych użyć się starał. Widząc w większości szlachty wstręt do odmian koniecznych, zdaniem jego, w całym ustroju rzeczypospolitej, starał się wywołać w stanie miejskim poczucie praw obywatelskich, wzbudzić w nim chęć pozyskania tychże, i utworzyć z niego potężne stronnictwo, któreby z czasem zmusiło stan panujący do przypuszczenia go do uczestnictwa w rządach kraju, stosownie do ducha i wymagań, jakie się podówczas w zachodniej odzywały Europie. W tym celu zawiązał on i utrzymywał ścisłe stosunki z znakomitymi obywatelami miast, ażeby przez nich prowadzić lud miejski do celu zamierzonego. Niezwykły w ówczesnej Polsce ten środek polityczny ściągał mu wielu zaciętych nieprzyjaciół, którzy, pomawiając go o obudzanie namiętności w niższych częściach społeczeństwa, obrzucali go nazwą rewolucyonisty i jakobina", (str. 35).

Za inicyatywą Kołłątaja w połowie listopada 1789 zjechało się do Warszawy 269 delegatów od 141 miast z Korony i Litwy. Kołłątaj zredagował im memoryał do stanów i do króla i Akt zjednoczenia miast, uroczyście podpisany na Ratuszu miejskim w dniu 24 listopada 1789 r.

„Czarna procesya mieszczaństwa ze szpadami u boku, a memoryałem w dłoniach, nawiedzała naprzód Stanisława Augusta, następnie marszałka sejmowego i dygnitarzy prosząc o poparcie żądań w sejmie. Po trzydniowej gorącej dyskusyi zgodził się sejm na wyznaczenie deputacyi dla spraw mieszczan.

Wieści o wypadkach paryskich i tryumfie stanu trzeciego nad królem, szlachtą i klerem, o zburzeniu Bastylii i ogłoszeniu praw człowieka, z drugiej znów strony widok czarnej procesyi, suplikacye po kościołach o pomyślność sprawy miejskiej, uczta mieszczańska na ratuszu i rzęsista iluminacya Warszawy w połączeniu z podniosłością tonu memoryału, wszystko to, jak pisze Smoleński (Ostatni rok sejmu Wielkiego str. 130) „na klasie uprzywilejowanej wrażenie robiło duże". Spodziewano się rewolucyi, 25. listopada, w rocznicę koronacyi królewskiej przewidywano jej wybuch.

Podaje Kalinka, że szczególniej Branicki, Sapieha, Suchodolski w wielkiej byli trwodze [1]).

Wieczorem 28 listopada mieszczanie rzęsiście oświecili Warszawę i u siebie na Ratuszu, z wielką okazałością przyjmowali, atoli wszystko odbyło się w cichości.

Jednak Sapieha nie uspokoił się i podwakroć namawiał Małachowskiego, aby dla ukrócenia buntu mieszczańskiego sprowadzić kawalerę narodową; Suchodolski zaś oświadczył, że żądać będzie ustanowienia osobnej deputacyi bezpieczeństwa, bo nie drży, ufa łasce W-go marszałka. Zgromił ich Małachowski, mówiąc, że próżnym zawierzają baśniom i że niepotrzebnie wmawiają w ludzi złe, o którem oni jeszcze nie myślą. (Kalinka 503—505).

Skutkiem tej wspaniałej manifestacyi mieszczańskiej, sejm ryczałtem udzielił mieszczaństwu w miesiącu listopadzie i grudniu 1790 r. 422 nobilitacyi, w tej liczbie 227 dla cywilnych, resztę dla osób wojskowych.

Jezierski (z „kuźnicy Kołłątajowskiej") miarkując, że sejm przez nobilitacye chce w nowonobilitowanych interes popierania sprawy mieszczan osłabić, a tem samem pozbawić stan trzeci przywódców i bez uszczerbku dla szlachty zbyć go czemkolwiek — uderzył w kuźni na alarm i ogłosił piorunujący „Głos na prędce do ludu miejskiego" [2]).

---

[1]) Branicki cały wieczór 25 listopada przesiedział u siebie razem z Kurdwanowskim, z pistoletami nabitymi na stole. Ks. Sapieha dał się zaprowadzić na ratusz dla widzenia iluminacyi, gdzie Dekertowi bardzo nisko się kłaniał. Gdy go pytano dlaczego? „Nie chcę wisieć" odpowiedział.

Powód obrazy był następny, jak król opowiada: „kilkoma dniami wprzódy, Sapieha chciał umieścić któreś tam kobiety, swoje faworytki, w loży na teatrum. Odpowiedział antreprenor, że wszystkie loże za kontraktem są najęte, nie jest przeto panom żadnej. Sapieha wiedząc, że Dekertowa, prezydentowa warszawska, między innemi ma lożę, rzekł zuchwale: „To za wiele na nią! Et propria auctoritate", posłał stolarzów, żeby w tej loży zrobili przedział na połowę dla tych faworytek. Gdy Dekertowa ujrzała, że daremne są jej uskarzania, że mimo kontraktu odbierają jej pół loży, rzekła z niecierpliwością: „Niech by ks. Sapieha pamiętał, co się w Paryżu dzieje!" To słówko ugrzeczniło butnego marszałka litewskiego".

Cały ten ustęp i następujący, zakończony słowami Małachowskiego — z Kalinki od 503—505 str.).

[2]) Przytaczam charakterystyczne ustępy z tej

„Czy zjazd delegatów do Warszawy i ich niezwyczajne wobec sejmu wystąpienie dopomogły sprawie mieszczan? zapytuje Kolinka i daje na to pytanie odpowiedź, że trudno dziś o tem orzekać“.

Jeżeli jednak zwrócimy uwagę na ten pewnik, że prawa zdobywają się siłą, jeżeli przypomnimy, jakie wrażenie zrobiła na szlachcie czarna procesya“, to nie będzie dla nas żadnej wątpliwości, że zjazd delegatów w znacznym stopniu zmusił sejm do uwzględnienia potrzeb mieszczaństwa.

Manifestacye listopadowe 1789 r. pokazały naocznie stronnictwu reformy, że połączywszy sprawę odrodzenia ojczyzny z interesem szerszych mas narodu, (mieszczaństwa), będzie miało dość siły do przeprowadzenia niezbędnych reform, chociażby drogą rewolucyjną.

Taką właśnie drogą była przeprowadzona konstytucya 3-go maja.

Żeby mi nikt nie mógł zarzucić przesady albo manii a la Tarnowski, widzenia wszędzie „rewolucyi“, nawet tam gdzie jej nie ma ani śladu, daję na tem miejscu głos poważnemu historykowi, ukrywającemu się (ponieważ jest z zaboru rosyjskiego) pod pseudonimem Wład. Grabieńskiego.

Sprawa reformy, pisze Grabieński (Dzieje narodu polskiego. Kraków 1898 tom 2-gi str. 121—22) postępowała powolnie, do czego przyczyniły się utrudnienia ze strony konserwatystów i nurtowania tajemne partyi rosyjskiej: biskupa Kosakowskiego, kanclerza Małachowskiego, hetmana Branickiego, kasztelana Wojnickiego, Piotra Ożarowskiego i innych utrzymujących stałe stosunki „z następcą Stackelberga, Bułhakowem“.

Tymczasem Rosya kończyła wojnę z Turcyą, a dla nikogo nie było tajemnicą, że gdy tylko Rosya będzie miała rozwiązane ręce na Wschodzie, zaraz zechce położyć swoje veto na reformatorską działalność sejmu i poprzeć czynnie konserwatystów i swoich zwolenników.

„Szczupłe kółko patryotów na zebraniach w mieszkaniu marszałka Małachowskiego uchwaliło ułożyć projekt konstytucyi, wnieść go na sejmie i przeprowadzić bez dyskusyi. Należeli do niego ks. Kołłątaj, Ignacy Potocki, Mostowski, posłowie inflantcy Weysenhoff i Niemcewicz, krakowski Sołtyk, brzesko-litewski Matuszewicz i kilku innych. Od czasu, gdy dopuszczono do tajemnicy Stanisława Augusta, tajne narady odbywały się w zamku. Liczba stowarzyszonych doszła do 60.

Projekt konstytucyi postanowiono wnieść na jednem z najbliższych posiedzeń po świętach wielkanocnych. Liczono na to, że wielu posłów przeciwnych reformie, z powrotem do Warszawy opóźni się; do wypróbowanych patryotów król rozesłał listy naglące o przyjazd jak najrychlejszy.

Na wniesienie projektu konstytucyi obrano dzień 5-go maja 1791. Na krótko przed tym terminem król zawiadomił o zamierzonym kroku kilku dygnitarzy: kanclerza Małachowskiego, podkanclerza Chreptowicza i marszałka wielko-koronnego Mniszka. Małachowski zdradził tajemnicę przed Bułhakowem, skutkiem czego stronnicy rosyjscy rozesłali na prowincyę gońców w celu ściągnięcia posłów konserwatywnych na sesyę sejmową 5-go maja. Na wieść o tem patryoci dla uprzedzenia powrotu przeciwników reformy, postanowili wniesienie projektu konstytucyi przyspieszyć na dzień 3-go maja.

Nie zaniedbali jednocześnie szukać po-

---

namiętnej odezwy.... „Wolność miast o krok tylko była od pożądanego skutku, iż stan szlachecki już się widział przymuszonym do oddania im praw należnych, iż — co większa — od was samych tylko dokonanie tego dzieła wielkiego zawisnąć musiało, kiedy jedynie przez zakupienie was nobilitacyami, przez oderwanie was od związku z miastami, dzieło to stan szlachecki za wniwecz obrócone być mniema... Takie to pozłacane cacko pokazano Ci, stanie miejski, w obficie wylanych na ciebie nobilitacyach...

Przewidujecież nowonobilitowani mieszczanie, do czego to dobrodziejstwo arystokratów zmierza?

Oto, nowonobilitowani mieszczanie, oto obawiano się, ażebyście majątkiem, radą, kredytem, waszym nie oswobodzili z niewoli, ucisku, wojen domowych, uciążliwości podatków kilku milionów uboższych braci waszych. Chciano złączyć interes wasz z interesem szlachty, a oderwać przez ambicyę serca wasze od interesu ludzi. Przewidujecież oficerowie-nieszlachta, dlaczego Wam rozdano niespodziewającym się szlachectwa? Oto dlatego, ażeby was ubogie miasta do jakowej nie użyły rewolucyi, spodziewano się bowiem, że oficera-szlachcica nie będzie obchodzić więcej los biedny mieszczanina człowieka“...

Jezierski wzywa nową szlachtę, aby złożyła w ręce sejmu te zdradzieckie zaszczyty i stojąc przy uciskanych, razem z nimi broniła sprawy tak pięknie podjętej“.

parcia w opinii publicznej, zwłaszcza w mieszczaństwie, zelektryzowanem świeżo otrzymanemi prerogatywami". (Grabieński loc. cit.).

Nie był to przypadek, że prawo, (miasta nasze królewskie wolne) przychylne dla miast, zostało przyjęte na ostatniej sesyi przed feryami wielkanocnemi, na przedostatniej przed 3-im maja.

Nietylko partya patryotów, ale i konserwatyści starali się pozyskać mieszczan, o czem świadczy postępowanie Suchorzewskiego, jednego z największych wrogów konstytucyi 3-go maja.

Kołłątaj tak pisze o Suchorzewskim (O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3-go maja); Suchorzewski potem sam się przyznał, że poparł sprawę miast jedynie dlatego, by mieszczan, zabezpieczonych już w prawach swoich odstręczył od patryotów, a do swej przyciągnął strony[1]), dostrzegłszy, jak twierdził, że się już wtedy knuła konstytucya 3-go maja".

„I o tem pamiętać należy (powtarzam słowa ks. Kalinki str. 543), że walka toczyła się głównie w Warszawie, wśród mieszkańców, których patryotyzm już rozgrzany, objawiał się przy każdej sposobności, wpływał na sejm".

By pozyskać warszawskie mieszczaństwo, 29 kwietnia marszałek Małachowski po tajnej naradzie w nocy z dnia 28 na 29 kwietnia z 40 przeszło osobistościami wybitnemi udał się na ratusz Starej Warszawy w celu przyjęcia prawa miejskiego. Powitano go z wielką czcią i wdzięcznością, po skończonej zaś ceremonii odprowadzono do domu w asystencyi cechów, z chorągwiami, wśród radosnych okrzyków.

2 maja wieczorem odbyło się w pałacu radziwiłowskim na Krakowskiem przedmieściu posiedzenie klubu Kołłątajowskiego, na które zaproszono mnóstwo osób różnego stanu.

Stanisław Sołtyk mówił o despotyzmie Rosyi... przypomniał, że w tym pałacu była zadecydowana niewola stryja jego. Odczytany projekt konstytucyi powitali obecni z zapałem.

[1]) Walka o lud! Ówczesna walka stronnictwa reformy i Suchorzewskiego o pozyskanie mieszczaństwa przypomina współczesną walkę stronnictw o ludność robotniczą wiejską i miejską.

Równocześnie odbywały się narady i w mieszkaniu Bułhakowa, który wezwał swych przyjaciół dla obmyślenia sposobu sparaliżowania zamiarów stronnictwa patryotycznego. Uchwalono protestować przeciwko projektowi konstytucyi; roli głównego oponenta podjął się Suchorzewski.

Staraniem krawca Dembowskiego i Konopki[1]) (ludzi „z kuźnicy Kołłątajowskiej") d. 3 maja tłum mieszczan warszawskich okolił zamek królewski, zewsząd zawarł do niego przystęp, głośno wołając: Vivat konstytucya! Oprócz galeryi wszystkie miejsca przepełniła publiczność. (Kalinka 403). „Tłoczyły się na salę obrad tłumy kupców i rękodzielników. Zapełnili ganki, zajęli ławki izby sejmowej, tłoczyli się na baryerę marszałkowską. Postawa mieszczaństwa przejmowała opozycyonistów (w tym wypadku wyraz ten znaczy konserwatystów, przeciwników konstytucyi) obawą rewolucyi[2]) (Grabieński str. 122).

Dyzma Bończa Tomaszewski w swoich uwagach nad „konstytucyą i rewolucyą dnia 3-go maja" tak o niej pisze:

„Tak niegodziwego przewrotu (ogłoszenie konstytucyi) dokonała garść ludzi... W pałacu radziwiłłowskim, siedlisku wszystkich najgorszych nawet nowości, rewulucyjny uknuli spisek... Po przyległych zamku ulicach snują się rozhukanego pospólstwa kupy; dziedziniec napełniony uzbrojonym ludem, oczekującym niecierpliwie polskiego Katyliny skinienia. Izba sejmowa zapełniona tłumem wszelkiego rodzaju arbitrów (t. j. publiczności).

Mieszczanie byli prawdopodobnie uzbrojeni i wyprowadzono wojsko, gdyż Mężeński poseł sandomierski, na jednej z sesyi majowych odgrażał się, że żądać będzie pociągnięcia komisyi wojskowej do odpowiedzialności, dlaczego pozwoliła „w dniu 3-go maja otworzyć arsenały i wyprowadzić armaty na dopełnienie gwałtu".

[1]) Byli to sławni agitatorowie. Konopka odegrał później rolę przywódcy rozruchów w Warszawie 9. maja 1794, wskutek których powieszono zdrajców biskupa Kosakowskiego, Zabiełłę, Ożarowskiego i Ankwicza.

[2]) Król pisał o Branickim: „Mieszczan warszawskich okrutnie się boi, lubom go kazał zapewnić, że najsurowiej jest zakazano mieszczanom, aby nikomu nic złego nie robili. List z 21 lipca 1791 (z prywatnej korospondencyi Stanisława Augusta, Kraków 1882 str. 28).

***

Hulewicz pisał do Szczęsnego Potockiego: „Pan Stanisław wydał z cekauzu 2000 sztuk broni dla mieszczan z hasłem, aby się stawili na dziedzińcu zamkowym".

Nie może być dwóch zdań, że konstytucya 3-go maja była rewolucyą, nie tylko co do swej treści (przekształcała zasadniczo ustrój Polski), ale i co do formy ogłoszenia: została przeprowadzoną drogą spisku i zamachu stanu.

Przypomnijmy fakty. Większość posłów nic nie wiedziała o tem, co w tajemnicy knowali patryoci, dążący dla zbawienia ojczyzny do reform.

Większość nie przypuszczała nawet możliwości rozstrzygnięcia jakich spraw ważniejszych w pierwszych dniach maja [1]), zaraz po feryach wielkanocnych i dlatego nie spieszyła się wcale na pierwsze posiedzenia sejmowe po feryach.

Gdy spisek się odkrył, dzięki zdradzie kanclerza Małachowskiego, partya moskiewska i przeciwników reformy nie miała już dość czasu, by zamach patryotów udaremnić. Ostatecznie możeby im się udało udaremnić zamach patryotów, naznaczony pierwotnie na dzień 5 maja. Rewolucya jednak została przyspieszoną i to ułatwiło jej powodzenie.

Na 150 kilku posłów obecnych na sali obrad, podług obrachunku malkontentów, było około 70 konstytucyi przeciwnych, lecz ci, okrążeni rozentuzyazmowanem do konstytucyi mieszczaństwem, czując się zewsząd okrążonymi politycznymi wrogami, zastraszeni postawą zgromadzonego ludu, bali się ostro protestować.

Jako pretekst do natychmiastowego ogłoszenia konstytucyi, bez dyskusyi, posłużyły odczytane na sesyi [2]) niepokojące depesze z zagranicy. Król wobec niepokojących wieści postawił wniosek, za pośrednictwem marszałka: przyjąć natychmiast, bez dyskusyi i przepisanej formy, ustawę, czyli „projekt, który (jak powiedział) mi był pokazany, a który już jest zgodny z wolą wielu sejmujących" (ustawa, odczytana w pałacu radziwiłłowskim 2-go maja).

Pomimo teatralnego, namiętnego protestu posła Suchorzewskiego projekt został przeczytany i przyjęty prawie jednogłośnie.

Do takiego przyjęcia ustawy przyczynił się w znacznym stopniu zręczny manewr marszałka przy sposobie głosowania. Na żądanie dyskusyi nad projektem odpowiedział marszałek temi słowami:

„Poważam tych kolegów, którzy względem tego projektu różnego od nas są zdania i którzy na niego deliberacyi żądali. Lecz w dniu dzisiejszym, który się staje dniem rewolucyi w rządzie naszym, a to dla zbawienia ojczyzny, wszelkie formalności ustawać muszą. W gwałtownem niebezpieczeństwie, gwałtownego należy chwycić się środka.

Upraszam przeto kolegów, aby na zapytanie się moje o zgodę, ci, co są za projektem, w milczeniu zostali; a ci którzy mu się sprzeciwiają, uczynili oświadczenie. Tym sposobem łatwo może być poznana większość woli sejmujących stanów".

Po tych słowach marszałka głucha cisza zapanowała przez czas pewien w sali sejmowej. Zaskoczeni niespodzianą propozycyą oponenci nie śmieli zrazu przerwać milczenia. (Wegner str. 178). Był protest, ale ostatecznie konstytucya została przyjętą.

Zniewolony liczyć się z rozmiarami artykułu muszę skończyć.

Na zakończenie tylko jeszcze kilka słów o znaczeniu konstytucyi 3-go maja.

Utarło się w przemowach okolicznościowych i broszurach patryotycznych nazywać tę konstytucyę „Testamentem Rzeczypospolitej". Są ludzie, co powtarzają to jako frazes, bo nie dość rozumieją treść tych słów.

Konstytucya 3-go maja jest rzeczywiście testamentem dla odradzającej się Polski.

Testament ów streszcza się w niewielu słowach: przez reformy społeczne i polityczne droga do wolności:

---

[1]) Według oznaczonego ustawą porządku sejmowania w pierwszych dwóch tygodniach każdego miesiąca sejm obowiązany był poświęcać się wyłącznie sprawom skarbowym, zmiany więc w ustroju konstytucyjnym i prawodawczym mogły być roztrząsane i uchwalane dopiero w drugiej połowie miesiąca; zresztą każdy projekt powinien być wydrukowany i na trzy dni naprzód rozdany posłom. Na mocy tego posłowie partyi rosyjskiej i konserwatywnej spokojnie rozjechali się do domu" (Bartoszewicz 250 str.).

[2]) Na wniosek Sołtyka pozwolono arbitrom (publiczności) znajdować się na sali podczas czytania sprawozdania tajnego deputacyi do spraw zagranicznych.

opierając się na ludzie, działając w imię jego interesów, walcząc przeciw Moskwie, wywalczymy naszemu narodowi wolność i niepodległość. *St. G.*

Udział Polaków w uroczystościach Puszkinowskich.

Przed kilku dniami Rosya obchodziła setną rocznicę urodzin największego swego poety, Aleksandra Puszkina. W uroczystości tej niektóre koła społeczeństwa polskiego, szczęściem niewielkie i nienajlepsze, uznały za stosowne wziąć udział; redakcya „Kraju“ petersburskiego, organu spekulantów ugodowych, urządziła zebranie uroczyste; za jej przykładem poszła garść profesorów i „uczonych“ krakowskich. Z tego powodu pozwolimy sobie zrobić kilka uwag, aby ocenić wedle zasług stanowisko tych panów.

Obchód rocznicy puszkinowskiej przybrał w Rosyi charakter wyraźnie urzędowy; Rosyanie czczą Puszkina pod miłościwym protektoratem rządu rosyjskiego. Ten ostatni dręczył Puszkina za życia, dręczył prześladowaniami, niemniej też dręczył danajskimi swymi darami. Teraz chce pokazać, że stoi na czele kultury narodowej, że jest przedstawicielem społeczeństwa i na wszystkiem co społeczeństwo czyni, rząd moskiewski wyciska swą pieczęć. Wobec tego Polacy winni byli od obchodu puszkinowskiego się usunąć; albowiem, jak od dżumy, jak od trądu, uciekać powinniśmy od wszystkiego, co pod skrzydłami orła rosyjskiego znajduje przytułek. A u nas, w zaborze rosyjskim, uroczystość puszkinowska jest dziełem jedynie i wyłącznie rządu moskiewskiego. Jeśli Rosyanie u nas szumnie i hałaśliwie pamięć poety swego święcą, to w tym celu by pokazać światu, że oni tu są panami i gospodarzami, że to też rosyjski kraj. Co więcej, Moskale chcą nam obchód puszkinowski narzucić; zmuszają gimnazyastów do brania w nim udziału, a nawet urządzają ludową zabawę puszkinowską, gdzie będzie się rozdawało po rosyjsku napisane życiorysy Puszkina i odczytywało w języku rosyjskim wyjątki z jego dzieł. Co za bezczelność!

Porównajmy to postępowanie z obchodem Mickiewiczowskim w Warszawie, kiedy na każdym kroku i wszelkimi sposobami nas krępowano, a nawet zakazano wszelkich mów podczas odsłonięcia pomnika. Bezecceństwem jest czcić pamięć poety rosyjskiego, kiedy nam Rosyanie zabraniają czcić swego wieszcza tak, jak chcemy.

Zresztą kogoż to czcić mamy? „Puszkin był wielkim poetą, przyjacielem Mickiewicza, szerzył idee dobra i sprawiedliwości“. Tak mówią ci, którzy obchód puszkinowski popierali ze stanowiska „ogólno-ludzkiego“ lub... słowiańskiego. W tym wypadku frazesy „humanitarne“ i „słowiańskie“ są tylko blagą i płaszczykiem dla osłonięcia brudnych dążeń ugodowych. Nie o wielkiego poetę tu chodzi, nie o szlachetne ideje, lecz o to, by przy ogniu poetyckim upiec pieczeń stańczykowsko-ugodową. Puszkin ma być jednym z dowcipnych środków, by robić zgodę z rządem zaborczym.

Puszkin był wielkim poetą! Zapewne. Ale ze wszystkich wielkich poetów cudzoziemskich on może najmniej u nas jest znany i ceniony. Panowie ugodowcy ani palcem by nie ruszyli, gdyby wypadło urządzać obchody ku czci Heinego, Byrona lub Goethego. Tu leży jasno jak na dłoni, że panom ugodowcom nie o poezyę chodzi, lecz o politykę plugawego rodzaju. Puszkin wprawdzie w zaborze rosyjskim lepiej jest znany, bo go tam w szkołach narzucają. Lecz właśnie dlatego każdy, kto z tych szkół wyszedł, nie zachował o nim dobrego wspomnienia. Okres liberalny w życiu Puszkina był bardzo krótki i dla poezyi jego wcale nie najważniejszy. Później Puszkin sprzeniewierzył się ideałom młodości, ugiął kark pod jarzmo carskie, choć mu niewątpliwie ciężyło, a nawet niektórymi wierszami swymi szerzył carofilstwo. W wierszu „Oszczercom Rosyi“ sławi potęgę carską, rzuca wyzwanie całej Europie, przeciwko której Rosya może wyprowadzić w pole miliony wojska „od fińskich zimnych skał do płomiennej Kolchidy“, nazywa zatarg Polski z Rosyą zatargiem „domowym“, który los dawno już rozstrzygnął. A o Mickiewiczu, kiedy za granicą pisał żałosne swe pieśni i bolał nad losem ojczyzny, Puszkin mówił, że stał się „pochlebcą niesfornej tłuszczy“...

Widzimy, że z jakiegokolwiek stanowiska oceniać będziemy udział Polaków w uroczystościach puszkinowskich, wypadnie go surowo potępić. Zwłaszcza nad wyraz przykre wrażenie sprawia w tem wszystkiem udział Galicyan. Charakterystyczne jest, że dwa obchody, urządzone przez Polaków na cześć Puszkina, odbyły się w Petersburgu i — Krakowie. Niemniej zasługuje na uwagę, że na obchód urządzony przez redakcyę *Kraju* nadeszły telegramy, między innemi, od — senatu uniwersytetu lwowskiego i od Akademii Umiejętności. Doprawdy, kiedy chodzi o lokajstwo, Galicya zawsze zdaje egzamin z odznaczeniem... *R.*

Próby literackie.

* *
*

Rodacy! Gdyby teraz złączył się brat z bratem,
Pieśń rodzinną na wiejskim zanucił zagonie
I lud biedny przygarnął, co w ciemnocie tonie,
Głosił mu przeszłe dzieje, bohaterów czyny,
Których zwycięskie skronie wieńczą czci wa-[wrzyny, —
Poznałby, że w tym ludzie, jak w gmachu [świątyni,
Złożone są uczucia, co kiełkując w ciszy
Rozrosną się po sercach — wróg ich nie wy-[pleni,
Jak nie wydrze nam pieśni, choć ją z wzgar-[dą słyszy.
Bo w ludzie są złożone nadzieje przyszłości:
Gdy bracie lud powiedziesz do szlachetnych [czynów,
Wyrwiesz z pomroki światło sławy i wolności,
Skronie swe gałązkami okolisz wawrzynów!

Stanisławów, 16 kwietnia 1899

Felitas.

M. H. S.

HOMEROWI.

(SONET).

Ślepy starcze! I jakież niebieskie natchnienie
Libetryjskie ci Muzy tchnęły w serce wieszcze,
Żeś jak żaden śmiertelny, przez prorocze dre-[szcze,
Tak odczuł, tak wyśpiewał serc najskrytsze [drgnienie?
Jasne wiecznie, twym oczom obce, dnia pro-[mienie
Zamknęły się w twych strunach, bo jak długo [jeszcze
Helios świeci Helladzie, gdy gaj zaszeleszcze,
Z tym szelestem twej pieśni pomiesza się [brzmienie.

Orfeuszowe pienia cienie poruszyły;
Tyś poległych nie wskrzesił czarami piosenki?
Ze snu wiekuistego, z Atrydów mogiły
Wstały zbrojne herosy na twej liry brzęki,
Boje toczyć nad krwawym Skamandru poto-[kiem, —
A tyś patrzał w nie, ślepcze — wieszczej [duszy okiem!

w lecie 1898 r.

Pamiętaj o mnie!

Pamiętaj o mnie! gdy jutrznia świecąca
Otwiera słońcu podwoje złociste,
Pamiętaj o mnie! kiedy noc marząca
Wkłada na ciebie osłony srebrzyste,
Przeczucie szczęścia gdy w twem bije łonie,
Lub tęskna dusza w marzeniach utonie,
Słuchaj! a z głębi drzew
Doleci ciebie śpiew:
„Pamiętaj o mnie!“

O! nie zapomnij o mem przywiązaniu,
Gdy się na zawsze może rozłączymy,
Śnij o miłości — o mem pożegnaniu,
Czas — oddalenie wszystko zwyciężymy!
Dopóki serce drży
Wciąż będę mówić ci:
„Pamiętaj o mnie!“

Gdy serce złamane ziemia wilgotna
Na wieki do łona przyciśnie,
A na mym grobie lilia samotna
Żałobnym kielichem zabłyśnie,
Ja... Cię nie ujrzę — ale dusza w niebie
Siostrzyca wieczna — pospieszy do ciebie
I w nocnej wtedy usłyszysz mgle
Głos, co ci prośbę ostatnią śle:
„Pamiętaj o mnie!“

Drohobycz. *M. D.*

Fizyczne wychowanie młodzieży prof. Angelo Mosso.

Jak dla zdrowia umysłu niezbędnem jest skupianie uwagi, tak dla ciała — ruch. Życie siedzące rujnuje zdrowie organizmu ludzkiego, gdyż sprzecznem jest z jego naturą. Mięsień jest zbudowany tak, że wtedy tylko żyje normalnie, kiedy się kurczy i rozkurcza, t. j. gdy się rusza, nieczynny — wątleje, blednie, zanika. Osoby, przyzwyczajone do podtrzymywania klatki piersiowej przy pomocy gorsetu, czują że bez tego dodatku trudno utrzymać ciało w pozycyi prostej. To naturalne: odnośne mięśnie, uciskane i nieczynne w ciągu całych lat — zanikły, i klatka piersiowa bez sztucznej podpory opada i pochyla się..

Przy siedzącym trybie życia nie może się odbywać normalny obieg krwi, zwłaszcza powrót krwi od obwodu ciała do serca. Jakkolwiek bowiem bieg krwi ku górze odbywa się w części wskutek nacisku z serca, wskutek próżni, tworzącej się w klatce piersiowej po każdym wydechu i. t. d. — znaczną jednak rolę odgrywa tu skurcz (ruch) mięśni, wśród których przebiegają naczynia krwionośne; posuwa on krew ku górze, gdyż przegródki ich tylko w tym kierunku otwierać się mogą

Brak ruchu, dalej, — to tosamo co zły oddech, złe przewietrzanie płuc, złe oczyszczanie krwi. W postawie nieruchomej, siedzącej i pochylonej wetchnięte powietrze nie wymiesza się ani w czwartej części w zepsutem powietrzu płuc. Oddech taki tyle znaczy, co łyżka czystej wody wlana do szklanki brudnej wody dla jej oczyszczenia.

Dopiero ruch ciała wywołuje głębszy i normalny oddech. — Natura tedy sama uzależniła te dwie funkcye jedną od drugiej.

Uczniowie zmuszeni przesiadywać w szkole 5 do 6 godzin, w domu 3 do 4, prowadzą życie siedzące i skazani są na złe tegoż następstwa. Uznanem to jest powszechnie i powszechnie usiłują temu zapobiegać. A środkiem do celu tego służącym jest: gimnastyka szwedzka, na przyrządach i wojskowa, gry i sport: wiosłowanie, ślizgawka i t. p. — Co jest najbardziej odpowiednie?•

Na pytanie to stara się odpowiedzieć autor wymienionej książki. Mosso jest znanym uczonym, profesorem fizyologii we Włoszech. Już więc z tego tytułu głos jego ma znaczenie poważne. Zresztą w wykładzie swym przytacza te dane naukowe, które mu do wniosków posłużyły w formie tak dostępnej, że każdy sam może sprawdzić słuszność wywodów, byle by choć trochę obeznany był z budową ciała ludzkiego i jego czynnościami.

Przedewszystkiem powstaje autor przeciwko umysłowemu przeciążaniu młodzieży szkolnej. Wyjątek stanowi Anglia, gdzie dziesięć dni w miesiącu poświęconych jest grom. W jednym z angielskich zakładów wychowawczych godziny poranne poświęcone były na zabawy. Zdaniem dyrektora zakładu „ćwiczenia i gry należy odbywać w czasie, kiedy chłopiec jest jeszcze świeży i krzepki, a na naukę znajdzie zawsze dość czasu“. Tymczasem na stałym lądzie, ,,rządy, profesorowie i nauczyciele, w głupiem zaślepieniu i źle zrozumiałej ambicyi, współzawodniczą ze sobą w tem, aby zapełnić głowy młodzieży mnóstwem niepotrzebnych i jałowych wiadomostek. I właśnie w czasach, kiedy robotnicy wszelkimi sposobami dobijają się o ośmiogodzinną pracę dzienną, my zmuszamy nasze dzieci, od najmłodszych lat, do siedzenia nad książką i ślęczenia nad pulpitem przez 10 godzin dziennie!“

Autor, dalej, krytykuje g i m n a s t y k ę n i e m i e c k ą, powszechną w szkołach polskich. Ponieważ gimnastyka ta polega na wykonywaniu pewnych ruchów przy zupełnej nieruchomości innych mięśni, jest przeto pozbawioną cechu ruchu naturalnego, a przeto nieodpowiednią. Wprost zaś niemądremi są ćwiczenia na takich przyrządach jak poręczki, trapez, kółka i t. p. Autor ironizuje z powodu jednego podręcznika gimnastyki niemieckiej, gdzie pedagog-gimnasta, w rozdziale odnoszącym się do poręczek, „podaje 54 sposobów podporu, 358 zmian pozycyi, 192 bujań, 22 ćwiczeń elementarnych, 25 wyskoków,“. „Tymczasem w życiu codziennem, nie mamy nigdy sposobności wykonywania takich ruchów, jakie się odbywają na poręczach. W żadnej okoliczności nie znajdujemy dwóch punktów oparcia, na których mielibyśmy dźwigać ciężar ciała, wyprężając lub zginając ramiona, kołysać się lub robić koziołki. Do tego uzdolnione są znakomicie małpy, albowiem mają mięśnie części tylnych cieńsze i lżejsze, niż ludzkie, a przytem natura zaopatrzyła je w chwytny ogon, który im pomaga w tych ruchach“. (str. 120).

Autor potępia również gimnastykę atletyczną, gdyż „gimnastyka powinna unikać wysiłków, które są podnieceniami chorobliwemi, a starać się przedewszystkiem o działanie wewnętrzne na system nerwowy, przyzwyczajać go zwolna do takiego wpływu na mięśnie, aby uzyskać możliwie największy skutek przy najmniejszem wydatkowaniu energii" (str. 134).

Podobnież ujemną z punktu widzenia potrzeb szkolnego fizycznego wychowania młodzieży, jest gimnastyka wojskowa[1]). Mosso energicznie występuje przeciwko tej inowacyi, którą stworzył szowinizm francuski. Rozmawiał on z różnymi strategikami i wszyscy oni zgadzają się zarówno, że „niema nic głupszego nad urojenie, że się młodzież rozwija i wpaja jej ducha wojskowego, zmuszając ją do parodyi ćwiczeń żołnierskich". (str. 151). „Musztra wojskowa wymaga natężenia umysłowego w tej samej mierze co nauka; aby więc zapobiedz przeciążeniu umysłowemu, musimy odrzucić wszystkie ruchy gimnastyczno-wojskowe..." (str. 147).

Gry na świeżem powietrzu, a zwłaszcza gry w piłkę, pochody, wiosłowanie — oto właściwy ruch dla młodzieży szkolnej.

„*Ideałem wychowania fizycznego jest zaprowadzić równowagę między pracą umysłową a mięśniową, popierać gimnastykę naturalną, ruchy przyjemne gier i zabaw stosownych, bieg, pochody i wszystko, co może dać człowiekowi siłę, zręczność i wdzięk*". (str. 146).

J. B.

Wasyl Stefanyk[2]).

Szczera dusza wieśniaka, przygnębionego straszliwą, nieubłaganą nędzą, jakby jakiem fatum bezwzględnem, nędzą, co jest jego najwierniejszym, nieodstępnym towarzyszem, co wdziera się nawet do nielicznych, weselszych, swobodnych chwil jego życia i wyciska swe niezatarte piętno na każdym, tak gorąco upragnionym momencie szczęścia i cichej, błogiej nadziei, — ta szczera, serdeczna dusza wieśniacza, okuta gniotącemi kajdanami boleści i rozpaczy, a jednak jaśniejąca od czasu do czasu chwilowymi przebłyskami głębokiego, szlachetnego uczucia, gorejąca ogniem silnej miłości, tym wewnętrznym, tlejącym ogniem, co chwilami wybucha pełnym, wybujałym płomieniem z serca, zdławionego łzami i bezbrzeżną tęsknotą, — oto najgłębsza, istotna jaźń twórczości Stefanyka. On nie zajmuje się dokładnem roztrząsaniem ekonomicznych stosunków chłopskich — pierwsze i najważniejsze znaczenie ma u niego dusza chłopa, jego uczucia. Żal, tęsknota, rozpacz, rezygnacya, — ta do głębi wstrząsająca muzyka nerwów chłopskich, potem ta pijana, dreszczem przejmująca stanowczość, — a wśród tego straszliwego zgiełku, jęków i płaczu, przebrzmiewają niekiedy i wesołe okrzyki upajającej radości i czarowne, ciche, jakgdyby nieśmiałe, to znowu gwałtowne i burzliwe dźwięki szczerej miłości rodzicielskiej.

I te właśnie przebłyski szlachetnych, serdecznych uczuć chłopskich, te objawy prostej, ale czystej i nieskalanej w swej prostocie i sile miłości, to stałe, niezachwiane przywiązanie do drogich, ukochanych ludzi i przedmiotów, — wszystko to sprawia, że opowiadania Stefanyka wywierają na czytelniku niezwykle silne wrażenie, — nie przykre, przygnębiające, ale potężne wrażenie pewności i dumy. Te, jakgdyby jasne, świetliste promienie słońca, przedzierające się przez ciężkie, ołowiane chmury, oczarowują nas swym dziwnym, tajemnym urokiem, napełniają serca nasze jakąś pewną siebie, niczem niezachwianą ufnością i nieskończenie dumną wiarą w to, że kiedyś mogą zabłysnąć pełnym blaskiem swej potęgi, — mogą zabłysnąć i — zabłysną...

Chłop przepija cały swój majątek, w końcu sprzedaje także chatę. Ale kiedy ma opuścić wieś rodzinną i iść szukać służby gdzieś w obce strony, przejmuje go tęsknota za straconą chatą i ze łzami w oczach a ciężką boleścią w sercu żegna się niemal z każdą jej cześcią z osobna; trudno mu się z nią rozstać. Zdaje mu się, że łzy rzęsiste spływają po szybach, że chata płacze z żalu za nim. — Młody rekrut opuszcza kochających go rodziców i siostry, żegna swoich znajomych i sioło rodzinne — a potem w wielkiem, nieznanem mieście ginie śmiercią samobójczą. I oto leży w trupiarni na zimnej płycie marmurowej, a zgnębiony ojciec staruszek całuje skostniałe nogi syna i bije siwą głową o płytę. Wieśniak wiezie chorą córkę do lekarza.

---

[1]) Nasze „Wojsko Krakowskie".

[2]) Synia knyżeczka, obrazky. Wasyl Stefanyk. Czerniwci, 1899.

Stracił już na nią prawie cały swój dobytek, opłacając baby-znachorki — i wszystko nadaremnie. Woła zniecierpliwiony do córki! „Ty, rozpadnycc, pamniataj, szo jak ja hroszi za durno po dochtorjach rozsiju, taj ty amiń zroblu!“ Córka zanosi się od płaczu i kaszlu. Ojciec troskliwie ją uspakaja, wyjmuje jabłka z kieszeni i podaje nieśmiało córce. Nigdy przedtem nie dawał jej żadnych łakoci. — W szarem codziennem życiu, spędzonem wśród mozolnej pracy, rozwesela rodziców małe kilkoletnie chłopię swą rozumną, bystrą mową. — Chłop topi swe dziecko, bo zmusza go do tego nędza. Ale czyni to z lękiem, z bezbrzeżną rozpaczą w sercu. Drugą dziewczynkę — na jej prośby — zostawia przy życiu. I teraz jeszcze troszczy się o nią. Wskazuje jej drogę do chaty, gdzie ją przyjmą na noc, a potem najmą gdzieś dziecko bawić i dadzą za to utrzymanie. Z jakąś chwytającą za serce troskliwością wyprowadza ją do wsi i podaje kij do ręki, ażeby czem obronić się przed psami, a sam idzie do miasta „meldować się“.

Przytoczyłem treść kilku opowiadań, ażeby wyjaśnić i uzasadnić przykładami powyżej wypowiedziany pogląd.

Pod względem formy pisarskiej, Stefanyk o wiele różni się od swoich poprzedników i rówieśników w ruskiej literaturze. Pisze bardzo pięknym i doskonałym językiem, ale nie używa wyrażeń doborowych, wyszukanych. Kilkoma pojedynczemi, prostemi słowami zarysowuje silnie, wyraziście tło opowiadania, charakteryzuje działające osoby, pokazuje ich duszę i nadaje ton nastrojowy całemu opowiadaniu. W rozmowach używa wyrażeń ludowych i żywcem przenosi chłopski sposób rozmawiania — co czyni opowiadanie niezwykle silnie realistycznem, z drugiej zaś strony podkład psychologiczny, na tej realistycznej podstawie oparty, sprawia, że każde z opowiadań Stefanyka możemy nazwać studyum artystycznem duszy wieśniaka.

Dodać należy, że Stefanyk jest znakomitym znawcą chłopa i duszy chłopskiej w jej najgłębszych, najsubtelniejszych przejawach, ma więc niewątpliwie jako pisarz-artysta pewną przyszłość przed sobą i wzbogaci zapewne literaturę ruską jeszcze nie jednym pięknym utworem. *T. M.*

Wyprowadzali z sioła.

Nad zachodem zawisła czerwona chmura. Podobną była ta chmura do skrwawionej głowy jakiegoś świętego. Z poza tej głowy przedzierały się promienie słońca.

Na podwórzu stała gromadka ludzi. Od zachodu padało na nich światło jak od czerwonego kamienia — twarde i stałe. Z chaty wychodziło jeszcze wiele ludzi, jak od umarłego — tacy smutni wychodzili.

Za ludźmi wyszedł młodziutki parobek z ostrzyżoną głową. Wszyscy patrzyli na niego. Zdawało się im, że ta głowa, co teraz bujała w krwawem świetle, ma spaść z karku, gdzieś daleko na cesarską drogę. W obcych krajach, gdzieś aż pod słońcem, upadnie na drogę i walać się będzie.

Matka stała na progu.

„Ty już idziesz synku?“

„Idę, mamo“.

„A komuż ty nas pozostawisz?“

Kobiety zapłakały, siostry załamały ręce, a matka biła głową do odrzwi.

Ojciec przystąpił do syna.

„Siadajmy, synku, na furę, bo kolej spóźnimy“.

„Jeszcze tę noc przenocuj u mnie synku, ja ciebie tak gorzko pielęgnowała, dmuchałam na ciebie jak na ranę. Ja cię wyprowadzę raniutko ze wschodem słońca i płakać nie będę. Przenocuj, przenocuj, dziecinko!“

Wzięła syna za rękawy i powiodła do chaty.

Gromada ludzi posunęła się ku wrotom. Wkrótce wyszła matka z synem. Twarz miała bladą jak kreda.

„Synku — pytał się ojciec — a mnie kto, nieboże, kukurudzę podgartywać będzie?“

Chłopi zaszlochali. Ojciec upadł głową na wóz i trząsł się jak liść.

„Hej, chodźmy!“

Matka nie puszczała.

„Mikołaju, nie idźcie jeszcze! Toć, zanim ty się obrócisz, to progi w chacie poskrzywiają się, to węgły pogniją. Mnie już nie zastaniesz, a może i sam nie wrócisz“.

Chwyciła syna za nogi.

„Wolałabym cię do trumny ubierać!“

Poszli. Kto stał koło wrót, szedł odprowadzać rekruta.

Przechodzili przez las. Liście uściełiło drogę. Pozaginało się w miedziane czółenka,

ażeby z wodą jesienną popłynąć tą drogą za rekrutem. Las przejmował głos matki, niósł go w pole, kładł na miedzy, ażeby wiedziały, że jak wiosna nadejdzie, to Mikołaj już na nich orać nie będzie.

Za lasem stanęli w polu. Rekrut począł żegnać się z siołem:

„Bywajcie zdrowi i moi i obcy. Jak czem dokuczyłem, to zapomnijcie, a błogosławcie w daleką drogę“.

Wszyscy pozdejmowali kapelusze.

„Wracaj zdrów, a nie baw się długo“.

Syn z ojcem siedli na furę. Matka chwyciła rękami za koło.

„Synku, weź mnie ze sobą. A nie, to będę polem biegła za wozem i dogonię ciebie“.

„Ludzie dobrzy, a weźcie-no tę kobietę, bo ręce sobie połamie.“

Ludzie przemocą odciągnęli od wozu i trzymali. Fura ruszyła.

„Idź zdrów, Mikołaju!“ — wołała gromada.

Tej nocy siedziała na podwórzu stara matka i ochrypłym głosem wołała:

„Skądże ciebie wyglądać, gdzie ciebie szukać?!“

Córki jak kukułki do niej przemawiały.

Nad niemi rozścieliło się jesienne sklepienie niebieskie. Gwiazdy migotały, jak złote ziarna na gładkiem, żelaznem tokowisku.

„Stratyw sia“ *).

Pociąg pędził w światy. W kąciku na ławce siedział i płakał. Ażeby nikt go nie widział, że płacze, chował głowę w malowaną tajstrę**). Łzy padały jak deszcz. Jak raptowny deszcz padały, co nieraz puści się i wkrótce ustaje.

Twardy takt pociągu walił w duszę wieśniacza jak młotem.

„Ot jeszcze śnił mi się niedawno. Gdzieś biorę wodę ze studni, a on gdzieś na samem dnie w takiej podartej kożuszynie, że aż strach patrzeć! Ot, ot utopi się. Mikołaju, synku, — gdzieś mówię do niego — a tyż co tutaj robisz? A on powiada:

„Oj, tatu, nie mogę ja w wojsku wytrzymać“.

„Ja mówię do niego: cierp synu, ucz się, a czysto chodź koło siebie. Ot i już się nauczył...“

Jedna wielka łza potoczyła się na dół po twarzy i upadła na tajstrę.

„Idę do niego i wiem, że go już nie zastanę. Ale czy będzie do kogo wracać? Biegła za mną polem, krwawemi łzami prosiła, abym ją wziął. Nogi jej posiniały od śniegu, wrzeszczała jak niespełna rozumu. Alem popędził konie i odjechał. Może gdzie tam wśród pola już kostnieje... Trzeba było wziąć starą. A nam już teraz czego potrzeba? Niech pieniądze idą, niech bydło z głodu ginie. Takim trupom, jak my, na co to wszystko? Torby niech poszyje i pójdziemy żebrać wśród ludzi w tem mieście, gdzie będzie mogiła Mikołaja“.

Przytulił twarz do szyby i łzy po oknie spływały.

„Oj, stara, tośmy się doczekali wianka na siwe włosy! Ot-to, niebogo, gdzieś bijesz głową o ściany, ot-to do Boga rzewnie płaczesz!“

Stary zaszlochał jak małe dziecko. Płacz i pociąg podrzucały siwą głową jak harbuzem. Łzy płynęły jak woda z nory. Wieśniakowi przesłyszał się głos jego starej, jak biegnie bosa i prosi, ażeby ją wziął ze sobą. Ale on konie batem, batem. Tylko jęk słychać po polu, ale hen, daleko.

„Napewno już jej nie zastanę. Gdyby choć jeszcze mnie sprzątnęli razem z Mikołajem do mogiły. Niechbyśmy gnili razem, kiedy w kupie żyć nie możemy. Niechby nad nami i pies nie zaszczekał w cudzej stronie, ale niechbyśmy razem byli! Gdzież on tam sam będzie w cudzej obczyźnie!“

Pociąg pędził światami.

„A szkoda, żeś był urósł jak dąb. Bywało, co weźmie do rąk, to aż mu się pali w tych rękach. Ot, trzeba było jedną jeszcze małemu uciąć...“

Pociąg dobiegał do wielkiego miasta.

Wyszedł z ludźmi. Na ulicy został sam. Mury, mury, a pomiędzy murami drogi, a na drogach tysiące świateł, w jeden sznur ponawlekane. Światło drżało, zatopione w ciemnej otchłani. Ot, ot upadnie i zrobi się czarne piekło.

*) „Stratyw sia“. Odebrał sobie życie.

**) „Tajstra“ — torba skórzana.

Ale światła zapuszczały korzenie w ciemności i nie upadały.

Oj, Mikołaju, żebym cię choć umarłego zobaczył. Już i mnie synku tutaj będzie amen!“

Usiadł pod murem. Tajstrę położył na kolana. Już łzy na nią nie padały. Mury nachylały się jeden ku drugiemu, światła schodziły się wszystkie razem, igrając barwami jak tęcza. Zamknęły wieśniaka, aby go dobrze oglądnąć, bo on z bardzo dalekich krajów tutaj przywędrował. Deszcz zaczął kropić. Skulił się jeszcze bardziej i począł się modlić.

„Matko Chrystusa, ty wszystkim dobrym ludziom na pomoc przychodzisz. Mikołaju święty!...“ — I bił się w piersi.

Nadszedł policyant i wskazał drogę do kasarni.

„Panie wojak, — a czy to tutaj umarł Mikołaj Czornyj?“

„On powiesił się w olszynie za miastem. Teraz leży w trupiarni. Idźcie tą ulicą na dół, a tam ktoś wam pokaże.“

Żołnierz poszedł dalej na wartę.

Wieśniak leżał na ulicy i stękał. Przeleżał chwilę, potem poszedł ulicą na dół. Nogi trzęsły się pod nim, jak podcięte i plątały się.

„Synku, synku, i ty powiesił się!... Powiedz mi, synku, co ciebie w grób zapędziło? Na co ty duszę straciłeś? Oj, przyniosę ja matce pociechę od ciebie. Marnie przepadniemy“.

W trupiarni na wielkiej, białej płycie leżał Mikołaj. Piękne włosy pływały we krwi. Wierzchołek głowy odpadł jak łupina. Na brzuchu był krzyż, bo — na krzyż pruli i pozszywali.

Ojciec upadł na kolana u nóg Mikołaja i modlił się. Całował nogi syna, bił głową o płytę.

„Oj dziecino moja, my tobie z matką wesele przygotowywali, muzykę najęli, a ty sobie het od nas poszedł...“

Potem podniósł trupa, objął za szyję i pytał się, jakgdyby się radził.

„Powiedz-że mi ile nabożeństw nająć, ile na biednych rozdać, aby tobie Bóg grzechu nie liczył?...“

Łzy padały na trupa i na białą chłodną płytę. Płacząc, ubierał syna na śmierć. Ubrał go w białą, wyszywaną koszulę, w pas wyszywany i kapelusz z pawiemi piórami. Malowaną tajstrę włożył pod głowę, w głowach postawił świecę, ażeby paliła się za straconą duszę.

Taki godny i piękny parobek w pawich piórach. Leżał na chłodnej marmurowej płycie i jakby uśmiechał się do swego ojca.

Buran.

(Dokończenie.)

Mimowoli, wsłuchany w dźwięk jego głosu, zapomniałem o burzy, o śniegu i o tem, że prawie już noc całą błądzimy. Coś, jakby ciepłe serdeczne łzy, spływało mi na serce, jakieś dawno zapomniane uczucia zaszemrały mi w duszy, gdym słuchał słów starca, co płynęły, jak cicha spokojna woda, to znów wrzały, jak potok górski, lub się rozlewały szeroko, jak wylew wiosenny, ogarniały całe przestrzenie i burzyły się, huczały, jak wzburzone fale morskie, aż zadrgał głos ten jakimś żalem bezmiernym, cierpieniem ogromnem, cierpieniem takiem, jakim jest ból jednostki, cierpiącej za miliony — wkońcu zadźwięczał fałszywym tonem, jak pęknięcie struny srebrnej. — Umilkł, a mnie się zdawało, że mówi jeszcze; milczałem, a łzy ciurkiem mi biegły po twarzy, a dusza rozmarzona bujała tam nad temi błoniami Ukrainy, przeglądała się razem z topolami w jasnych szybach stawów, przeżywała wszystko to, co przeżył ten człowiek i cierpiała z nim razem...

O, bo i ja pochodziłem z Ukrainy, i mnie znajome były owe stepy i ludzie, i żniwa, i woda i spiewki tęskne... i ja kiedyś, dzieckiem jeszcze prawie będąc, kochałem się pierwszą ognistą miłością czternastoletniego chłopca w pięknej Maryni, tylko nie takiej ognistej, jak tamta, ale dobrej, cichej i pracowitej blondynce z błękitnemi oczami. Hej, czy porównać nasze dziewoje z tutejszemi kupcównami? A lasy nasze, a łany zbożowe, czyż podobne do bezludnej pustyni?

„Cóż dalej?“ spytałem cicho, szanując boleśne towarzysza milczenie.

On podniósł spuszczoną głowę ciężko jakoś i niechętnie.

„Co dalej?“ — rzekł — „dalej już nie ciekawe: miesiąc jeden walki nadludzkiej bez nadziei zwycięztwa, potem trzy lata więzienia, podróż po śnieżnych równinach i dwadzieścia lat życia w nędzy i pracy, w tajgach. Teraz wracam pieszo do kraju; dwa z górą tysiące wiorst jeszcze zostało, a tam — nie wiem co. Rodzice dawno pomarli ze zmartwienia i nędzy; nie mam nic, ani krewnych, ani przyjaciół, ani siły do pracy... Ale ciągnie mię tam do tej ziemi ojczystej — tam przyjdę, siądę na gruzach minionego szczęścia, zapłaczę i zemrę. Więcej mi nie trzeba i więcej nic pragnę.

Umilkł znowu i milczał ponuro, spuściwszy głowę, a mnie taki żal ścisnął za serce, że mimowoli jakoś objąłem go za szyję i tuląc się do jego piersi, zapłakałem, — ale tak zapłakałem, panie, że mi mało pierś nie pękła. Szalone spazmatyczne łkanie targało mną i wstrzymywało oddech, a towarzysz mój milczał czas jakiś, aż w końcu się ozwał tak bezbrzeżnie smutnym głosem, że mi aż serce zadrgało:

„Oj, łzy, łzy!... Błogosławieni ci, co płakać mogą! Oj i ja płakałem kiedyś — dzieckiem jeszcze; potem, pamiętam, płakałem, gdy mię matka i ojciec na śmierć prawie pewną wysyłali — spłakaliśmy się wówczas wszystko troje... Potem, to już ostatni raz było — patrząc na towarzysza, przyjaciela mego, rozdartego kulami pod ścianą...“

Westchnął, gnieciony ciężkiemi wspomnieniami i pogrążył się w milczeniu.

Uspokoiwszy się trochę, zawstydziłem się swego rozczulenia, nie licującego wcale z sumiastym wąsem i otarłszy twarz, wsunąłem się w kąt kibitki.

Wtem uczułem, że sanie uderzyły o coś silnie i stanęły. Oprzytomniałem, spojrzałem przed siebie — nie było już burzy: lekki, mroźny wiatr pociągał od wschodu, na którym się bielił pierwszy świt poranku; ciemnie nocy bladły i wyłaniały ze swych mroków jakieś białe wzgórki, w których z łatwością rozpoznałem ośnieżone dachy chat wiejskich; obok był wysoki płot drewniany, o który zawadziły sanie. Wyskoczyłem żywo na ziemię i rozejrzałem się wkoło: wprost mnie piętrzyły się znajome mi dobrze wierze cerkwi o zielonych kopułach — znajdowaliśmy sie na ulicy własnej wioski.

„Cóż ty, gapiu“, — zwróciłem się do Igora — „a nie widzisz, żeśmy do domu przyjechali?“

Igor milczał skulony, schowawszy twarz w kołnierz futra.

„Igor, Igor!“ — zawołałem, trącając go w ramię.

Milczał uparcie — ani się ruszył.

„Cóżeś zbaraniał?“

Szarpnąłem go za rękę. Ręka była sztywna, ani znaku życia.

Zrozumiałem: ukołysany monotonną jazdą, usnął biedak i zmarzł na kość.

* *
*

W tydzień potem siedziałem wieczorem przy stole, przygotowując rachunki. Na łóżku pod ścianą leżał Karlicki (ów stary wygnaniec). Zaziębił się w czasie pamiętnej podróży i jak się położył do łóżka, tak leżał i milczał cały czas, jak zaklęty.

Milcząc poddawał się opatrunkowi lekarza, milcząc przyjmował lekarstwa, tylko wzrok ponury wlepiał ciągle w jeden kąt pokoju, w którym trwała niezmącona niczem cisza, tylko ciężki oddech chorego i przewracane przezemnie kartki szelestem swoim dawały poznać, że przecieśmy żywi ludzie. Wtem ktoś zapukał do drzwi.

„Kto tam?“

„To ja: z poczty powrócił“ — przemówiła cicho stara Akulina, wchodząc na palcach i podając mi paczkę gazet i listów.

Przerzuciłem je szybko; były to listy przeważnie z firmami na kopertach od różnych interesantów, ale jeden z nich zwrócił mą uwagę osobliwą długą staroświecką formą koperty. Przyjrzałem mu się — był to list od ciotki z Ukrainy, staruszki zacnej i bardzo mię kochającej; pisała długo, serdecznie, jak zwykle, a kończyła tak:

„... Wiosna się zbliża. Jakaż szkoda, że nie będziesz widział naszej kochanej, ukraińskiej wiosny! Ale ty, sokole nasz, odleciałeś ze swego gniazda na zawsze. Kiedyś marzyłam o tem, że wrócisz może, ale z ostatniego twego listu widzę, żem się próżno łudziła. Zakładasz sobie gniazdko w obcej ziemi na obcem drzewie... zakładaj — Bóg z tobą — niech ci pomaga we wszystkich poczciwych zamiarach twoich, biedne, biedne dziecko moje! Ja z Helcią, wychowanicą swoją, o której ci tak często pisałam, wy-

jeżdżamy w jesieni do Warszawy, gdzie Helcia ma zamiar zostać nauczycielką.“

Uśmiechnąłem się z zadowoleniem wewnętrznem.

„Może się i mylisz cociu“ — pomyślałem — „zrobię ci niespodziankę, zaczekaj!“ Właśnie wczoraj odstąpiłem na bardzo korzystnych dla mnie warunkach kontrakt na dzierżawiony przezemnie majątek, ureguluję tylko rachunki i — jazda! Niechby tylko Karlicki prędzej wstał z łóżka, bo chyba go tu nie porzucę samego, muszę go zawieźć do domu; poczciwina stary! to mi dopiero przysługę zrobił swojem zjawieniem się. Jakżem szczęśliwy!

Spojrzałem na chorego, -- patrzył po dawnemu w kąt. Raptem popatrzył na mnie i wyciągnął suchy, żółty palec w stronę owego kąta:

„Patrz, to Ona.“

„Kto“ — spytałem, rozumiejąc, że majaczy.

„Ona“ — powtórzył lakonicznie; ręka mu opadła na łóżko i zamilkł.

I znów dni parę prawie się nie odzywał. Lekarz, który co dzień przyjeżdżał, kiwał głową powątpiewająco i nic stanowczego powiedzieć nie mógł.

Pewnego dnia, gdy siedziałem jak zwykle przy łóżku chorego, poruszył się nagle i rzekł do mnie z cicha:

„Edwardzie, przysuń się bliżej. Patrz“ mówił, podając mi chudą drżącą ręką jakiś mały, szary, nieksztaltny przedmiot. To kula, wyjęta z serca mojego towarzysza i przyjaciela; była ona dla mnie zawsze najdroższą relikwią. Nieraz chowałem ją we włosach i ustach, by mi jej nie odjęto i przechowała się. Masz. A to dwa dukaty — jeszcze ojcowskie. Nie śmiałem ich dotąd zmienić, choć się zdarzało po parę dni nie jeść. Weź to i jak będziesz tam na Ukrainie, pojedź do K., kulę tę opraw w złoto z tych dukatów i zawieś tam w kościele jako votum u obrazu Matki Bożej. Chciałem sam to zrobić, ale nie przeznaczono mi tam dojść, — już Ona mię woła. Widzisz?“ spytał, kościstą ręką wskazując mi znów ów kąt.

„Nie widzę nic“ — odrzekłem zdziwiony, patrząc na pusty kąt pokoju.

„Jakto nie widzisz? Chybaś ślepy! Oj, ślepi! ślepi! przez was i przez ślepotę waszą zginęliśmy!... Stoi kobieta jasna, piękna i smutna... Widzisz — rękę wyciąga do mnie a drugą odpycha ich, tych — tych... i odepchnąć nie może. Patrz, jak wpijają w Jej ciało swe chciwe zakrzywione szpony!... Chodź, pomożemy Jej!...

Chciał się zerwać, ale siły go opuściły i nie mógł; ręką przeciągnął po szerokiej bliźnie zdobiącej mu pokryte kroplami potu czoło.

„Antoś! Antoś!“ — wykrzyknął nagle „pilnuj się! Stój! gdzie rana? Ach, krew mu ustami poszła... umiera“...

Zamilkł i znów zawołał, nasrożywszy groźnie brwi i szarpiąc nerwowo ogromne siwe wąsy:

„A nie widzisz, kpie, że przed pułkownikiem stoisz?! A ty czegoś się skradał? Co? Dzieci masz? Tem lepiej... Powiesić go!...“

Począł rzęzić, obłąkanym wzrokiem wodził w koło, nagle znów wykrzyknął:

„Naprzód! w imię Boga! Naprzód komu... komu miła... Szlusuj! szlusuj!...“

To były ostatnie jego słowa; wyprężył się i skonał.

Sam włożyłem go do trumny i pochowałem pod brzozą płaczącą. Ukląkłem na świeżej mogiłce i chyląc w pokorze głowę, posłałem ku Stwórcy cichą modlitwę za duszę tego starca ze złamanem życiem, co nie zaznał ni szczęścia ni spokoju w tułaczem życiu swojem, którego płomienne marzenia młodzieńczego wieku rozbiły się jak bańka mydlana o mury więzienne, zastygły w zamieciach śnieżnych i były wraz z nim w obczyźnie. Modliłem się, a w uszach moich dzwonił ciągle ostatni wykrzyk jego, gdy konał ze wzniesioną ku górze ręką: „Szlusuj!“

Wróciwszy do kraju pojechałem umyślnie do K., by zawiesić u ołtarza votum, a na złotej oprawie wokół kuli kazałem wyryć na pamiątkę znalezionego wśród zamieci starca, ostatnie jego słowo: „Szlusuj.“

Grzymalita.

Kronika.

Odezwa stronnictwa demokratyczno-narodowego. Z okazyi uroczystości Puszkinowskich, nakazanych przez rząd rosyjski, wydał komitet stronnictwa demokratyczno - narodowego w Warszawie odezwę, która rzuca światło na charakter całej tej wielkorosyjskiej uroczystości

i dobitnie piętnuje rozkaz carski, nakazujący Polakom przyjąć w niej udział. Z tego powodu przytaczamy na tem miejscu odezwę tę w streszczeniu i w wyjątkach.

„Z woli tego samego cara, który zakneblował nam usta i otoczył nas żandarmami przed pomnikiem Mickiewicza, z rozkazu tego samego generał-gubernatora, który rozpędza nahajkami zebrania ludowe, a wszelkie próby obchodu dni pamiętnych karze więzieniem i wygnaniem, z porady *tych samych gazet rosyjskich*, które lud polski zowią buntowniczem plemieniem, *a wołanie nasze o sprawiedliwość obrzucają mianem zbrodni przeciw prawu*, mamy się teraz poruszyć żywo i żwawo, zebrać ochoczo i tłumnie, bawić wesoło — na cześć i sławę Puszkina". Po tym wstępie odezwa charakteryzuje dosadnie Puszkina, który „za młodu przyjaźnił się z ludźmi, pragnącymi zmusić cara Aleksandra do nadania Rosyi takich wolności i swobód, jakiemi cieszą się w Europie wszystkie narody oświecone i szczęśliwe", później zaś zgromiony przez cara Mikołaja, zaczął pracować na jego łaskę. „W wierszach wysławiał dobrodziejstwa carów dla Rosyi, opisał historyę uśmierzenia buntów kozackich, *zamknął oczy i uszy na nędzę ludu*, wyrzucił z pamięci imiona pomordowanych przyjaciół... *Bo tak powinien postąpić każdy wierny. poddany, zaprzeć się jak Judasz, zdradzić i spodleć i dlatego psy carskie obchodzą dziś uroczyste święto sławnego syna Rosyi, dlatego pragną nas pociągnąć, pragną, żeby lud stolicy polskiej pokłonił się cieniom zaprzańca*". *Mickiewicza nazywał Puszkin „pochlebcą niesfornej tłuszczy"*, „a gdy Polacy rozpoczęli *w r. 1831* śmiertelne zapasy z Moskwą i ludy Europy wołały do swoich rządów, żeby udzielić pomocy ludowi Polski, która za powszechną wolność bój toczy", *Puszkin w wierszu p. t. „Do oszczerców Rosyi" oświadczył, że zapóźno już ludom wolnym wtrącać się między Rosyę a Polskę: los rozstrzygnięty już został, nic ma nikt prawa czynić uwag carowi*". Przed słowami temi, jak przed Ewangelią, chylą głowy oberpolicmajstry, prokuratory, żandarmy i oficerowie, pochylmy więc i my czoła przed wizerunkiem pisarza, który wydawał nas na łup samowoli moskiewskiej. Dusza jego uraduje sie karnością Lacha i chociaż jękną pomordowani ojcowie i bracia nasi, przecież nam pobłogosławią plugawe dłonie popów..."

„Czcić nam swoich zabroniono, czcić obcych kazano, w mieście i w kraju powalonym, zdeptanym, zrabowanym, okajdanionym, najeźdzcy swoje święta odprawiają i nas proszą do stołów, do zabaw. Nieznacznie i powoli chcą zniszczyć w nas pamięć o Polsce, a ożywić poczucie jedności z Rosyą. Wielkich panów proszą na bale do zamku, lud na zabawy do parku."

W dalszym ciągu odezwa wzywa wszystkich Polaków, aby na pamięć Kilińskiego, Bartosza Głowackiego i tylu innych bohaterów i męczenników naszego narodu tak tych, którzy poginęli, jak i tych, którzy obecnie jęczą w cytadeli, wstrzymali się od wszelkiego udziału w uroczystościach ku czci Puszkina, by wyjaśniali niewiedzącym, co to za uroczystość; przedstawiali, „jaka to hańba wesele na grobie ojczyzny i pod bokiem katowni ludu", bo „tylko nędzni i podli albo ciemni albo głupi w zabawie udział wziąć mogą." Kończy się słowami; „Precz z uroczystościami rządowemi, precz ze świętami moskiewskiemi! Rychło dla nas zaświta dzień świąteczny! Niech żyje Polska! Niech żyje wolny lud polski!"

Władze szkolne rosyjskie w Królestwie wydały okólnik do dyrektorów szkół rządowych, wedle którego uczniowie obowiązani są wziąć udział w uroczystościach Puszkinowskich, a wszelki opór w tym kierunku ma być karany nieudzielaniem promocyi do klas wyższych.

Niedawno wydane było podobne rozporządzenie w sprawie uroczystości odsłonięcia pomnika Murawiewa w Wilnie, to też obecne rozporządzenie było również do przewidzenia, jest zaś jednym dowodem więcej na to, iż cały obchód jubileuszowy wyszedł z inicyatywy rządu rosyjskiego, który w Puszkinie czci „rządowego" poetę.

Zakaz władz szkolnych krakowskich w sprawie mającego powstać w Krakowie uniwersytetu ludowego. Przed kilku tygodniami odczytano w szkołach średnich krakowskich rozporządzenie dyrektorów, na mocy którego wzbroniono uczniom uczęszczać na wykłady mającego powstać dopiero uniwersytetu ludowego. Przyczyną obawa przed „fałszowaniem wiedzy" przez „niedyplomowanych" lub „nieocenzurowanych" prelegentów i — przed rozjaśnieniem egipskich ciemności, panujących w głowach wychowanków dzisiejszej szkoły. Jeżeli zważymy jeszcze, że uniwersytetowi ludowemu Rada szkolna zabroniła korzystać z sal szkolnych, a to dlatego, że „prelegenci nie dają rękojmi, iż będą objektywnie wykładali swój

przedmiot", że również we Lwowie zakazano uczniom uczęszczać na te wykłady, będziemy mieli nowy szczegół dla wyrobienia sobie poglądu, jak u nas miarodajne sfery zapatrują się na wszelką chęć popularyzowania wiedzy i oświecania szerszych warstw.

Subwencya Rady miejskiej we Lwowie na zabawy dla młodzieży szkół średnich. Rada miejska we Lwowie uchwaliła na jednem z ostatnich posiedzeń przeznaczyć *700 złr.* jako subwencyę na zabawy dla młodzieży szkół średnich. W poprzednim numerze zanotowaliśmy już, że profesorowie lwowscy zaczynają się brać na seryo do organizowania zabaw; obecnie uzupełniamy to wiadomością, że na boisku, leżącem poza placem dawnej wystawy, gromadzą się codziennie uczniowie szkoły realnej i gimnazyum piątego i spędzają kilka godzin wśród rozmaitych ćwiczeń gimnastycznych i gier (między innemi Lawn-tennis). W zabawach tych biorą przeważnie udział uczniowie klas niższych, co się tłómaczy tem, że starsi uczniowie, którzy w poprzednich latach nie nabrali zamiłowania do podobnych ćwiczeń, obecnie także nie czują do nich pociągu.

Nie wątpimy, że udzielona przez Radę miejską subwencya, przyczyni się do lepszego zorganizowania tych zabaw szkolnych, a profesorów, kierujących niemi, skłoni do tem energiczniejszego zajęcia się tą sprawą, tak ważną dla rozwoju fizycznego naszej młodzieży.

W skład nowej Rady miejskiej we Lwowie wszedł prof. *St. Majerski*, znany jako wielki przyjaciel młodzieży szkolnej i bardzo zasłużony, szczególnie przez swoją dbałość o rozwój fizyczny uczniów szkół średnich. W gimnazyum piątem kieruje on od lat kilku zabawami szkolnemi, dlatego też wejście jego do Rady miejskiej witamy z wielką radością i jesteśmy pewni, że w sprawach, dotyczących stosunków zdrowotnych szkół lwowskich, a związanych bardzo ściśle z działalnością Rady miejskiej, które tak wiele pozostawiają do życzenia, prof. Majerski wystąpi z całą energią i stanowczością w obronie młodzieży i jej zdrowia fizycznego i stanie się najdzielniejszą siłą.

W sprawie gimnazyum Cieszyńskiego. Założone w r. 1895 gimnazyum polskie w Cieszynie, które powstanie swoje zawdzięcza ofiarności całego społeczeństwa polskiego, narażone jest obecnie na bardzo poważne niebezpieczeństwo. Uzyskawszy z trudnością prawo publiczności, rozwija się ono bardzo pomyślnie, bo oto obecnie liczy w 4 klasach a 6 oddziałach 200 uczniów. Mimoto wszelkie kroki, poczynione w celu przyjęcia tego zakładu na koszt państwa, nie odniosły pożądanego skutku. Obietnica wydatnej subwencyi rządowej nie została dotąd zrealizowana. *Podanie o subwencyę do sejmu śląskiego odesłano do wydziału krajowego,* aby zbadał sposób i źródła dotychczasowego pokrywania kosztów, skład zarządu i przynależność uczniów do niego uczęszczających, czyli *odłożono sprawę na czas nieograniczony. Prywatnemu zaś gimnazyum niemieckiemu we Frydku udzielił ten sam sejm 5000 złr. subwencyi.* Fałszywe pogłoski, rozsiewane przez Niemców o upaństwowieniu gimnazyum i o udzielonej subwencyi, powstrzymały bardzo dotychczasową ofiarność społeczeństwa, czego dowodem kwartalny wykaz kasowy „Macierzy szkolnej". Do kasy wpłynęło tylko 3.366 złr. podczas gdy wydatki wynosiły 7.179 złr. 52½ ct. Gimnazyum mieści się dotychczas w budynku wydzierżawionym, w którym miejsca wystarczy jeszcze na jeden rok.

Wobec tego koniecznem jest wybudowanie nowego gmachu, którego koszta wynosiłyby 100.000 złr. Pieniędzy na ten cel brak, bo fundusz „Macierzy szkolnej", wynoszący 68.000 złr. musi być zarezerwowany na dalsze utrzymanie zakładu, które rocznie kosztuje 25.000 złr. Fundusz ten, potrzebny na wybudowanie gmachu gimnazyalnego, musi być więc zebrany drogą składek. W celu ich zbierania zawiązał się w Krakowie komitet pod przewodnictwem prof. Dra Henryka Jordana. Przed kilku dniami właśnie otrzymaliśmy odezwę, wzywającą nas do zbierania składek na koszta budowy budynku gimnazyalnego. Ponieważ numer ten jest ostatnim przed wakacyami, a na wakacye wydawnictwo przerywamy, więc nie możemy obecnie zająć się przyjmowaniem datków, **gorąco jednak polecamy tę sprawę naszym czytelnikom, którym utrzymanie gimnazyum cieszyńskiego, jako twierdzy i strażnicy zachodniej na Śląsku przeciw zakusom germanizacyjnym z pewnością leży na sercu.** Wszelkie datki pieniężne należy wysyłać pod adresem skarbnika komitetu krakowskiego **ks. kanonika T. Flisa, Wawel — Kraków.**

Okólnik ministra oświaty. Minister oświaty wydał okólnik do wszystkich austryackich Rad szkolnych w sprawie uproszczenia nauki matematyki i fizyki w gimnazyum wyż-

szem. Bliższe szczegóły tego uproszczenia są nam nieznane.

Antysemityzm w gimnazyum czerniowieckiem. W czerniowieckiej gazecie „Bukowinaer Rundschau“ czytamy, że w tamtejszem gimnazyum państwowem, którego dyrektorem jest radca rządu Klauser, istnieje jedna klasa I. A., w której zupełnie niema uczniów wyznania mojżeszowego, mimo że w drugim oddziale jest takich uczniów bardzo wiele. Gospodarzem tej klasy, wolnej od żydów, jest prof. Pawliczek. Przeciwko takiemu propagowaniu w szkołach antysemityzmu, które wcale nie ma cechy przypadkowości, wspomniana gazeta występuje z całą stanowczością i żąda natychmiastowego zaradzenia złemu.

Wypadek ten przypomina nam, że i u nas w Galicyi zdarzają się wypadki, iż jeden oddział pewnej klasy ma bardzo niewielu uczniów żydów, drugi jest nimi przepełniony, tak że tworzą się klasy „katolickie“ i „żydowskie“. Że i tutaj przypadkowość, lub praktyczne (administracyjne) względy niezawsze są przyczyną, to nie ulega wątpliwości, ale fakty takie pozostają w ukryciu. W ten sposób nieznacznie i niepostrzeżenie zasiewane bywają u nas już wcześnie ziarna antysemityzmu.

Od mecenasa M. Wrońskiego, uczestnika powstania r. 1863 i b. adwokata w Kamieńcu Podolskim, otrzymaliśmy list z wyrazami uznania za naszą dotychczasową działalność i życzeniami dalszego powodzenia. Za życzenia te serdecznie dziękujemy.

Wycieczki studenckie. W bieżącym miesiącu odbyły się dwie wycieczki studenckie. Jedną urządzili uczniowie kl. VI. gimnazyum III. we Lwowie pod przewodnictwem prof. Lachowskiego, do Podhorzec i Oleska, drugą uczniowie gimnazyum przemyskiego pod przewodnictwem prof. Kudewicza i Matwijasa do Lubienia koło Gródka.

Zakład OO. Zmartwychwstańców w Krakowie pozwala czytać swym wychowankom tylko „Czas“, a nieraz „Głos narodu“. Gdy weźmiemy pod uwagę to, że młodzież, która mieszka w tem więzieniu, wstępuje zaraz po skończeniu gimnazyum do akademii oryentalnej i staje później na czele rządu, widzimy, że nie mogą posiadać oni postępowych zasad, skoro jedyną lekturę dla nich stanowią te zacofane pisma.

Zastosowanie elektromotorów do poruszania warsztatów mechanicznych.

Zasada warsztatów mechanicznych znana jest zapewne czytelnikowi. Polega ona na tem, że jedna maszyna parowa za pośrednictwem pasów, przeprowadzonych od jej koła zamachowego, porusza cały szereg maszyn roboczych, które znowu wykonywają prace, wchodzące w zakres ślusarstwa, tokarstwa i innych rzemiosł. Następuje tu olbrzymie udogodnienie pracy i zaoszczędzenie energii fizycznej człowieka.

Wskutek postępu technicznego, już uzyskane udogodnienia nie wystarczają nadal ludziom, tembardziej, że ukazują się nowe sposoby, dozwalające jeszcze większych ulepszeń i uproszczeń. Takim nowym środkiem, któremu ustąpić musi pierwszeństwa nawet maszyna parowa, są motory elektryczne.

W niniejszym artykule chcemy właśnie podać zastosowanie tychże motorów do pędzenia warsztatów elektrycznych i wykazać, kiedy i o ile dają się one użyć z szczególną korzyścią i dlaczego w ogóle przewyższają one pod tym względem wszelkie inne motory.

Przedewszystkiem podamy w krótkości urządzenie warsztatów mechanicznych, pędzonych elektrycznie.

Każdy motor elektryczny, aby się mógł poruszać, musi z jakiegoś źródła otrzymywać pewną ilość elektryczności; źródłem tem jest maszyna dynamo. Chcąc zaś w tej maszynie wytworzyć energię elektryczną, musimy ją obracać i to albo za pomocą maszyny parowej, albo koła wodnego, turbiny i t. d. Wskutek tego wszelkie zupełne urządzenie elektrycznego przeniesienia siły musi się składać z następujących czterech części:

1. z motoru parowego, gazowego, lub wodnego;

2. z maszyny elektrycznej, wytwarzającej prąd;

3. z siatki drutów, przeprowadzających elektryczność, wytworzoną w maszynie dynamo, do motoru elektrycznego i

4. z samego motoru elektrycznego, poruszającego bezpośrednio dotyczącą maszynę roboczą (tokarnię, strugarkę, i t. p.)

Ze względu na tę ostatnią część dzielimy omawiane instalacye na 3 kategorye.

I. Instalacya centralna. Fabryka jest poruszana przez elektromotor, podobnie, jak przez motor parowy, to znaczy, że od elektromotoru prowadzą transmisye do poszczególnych maszyn roboczych, znajdujących się w tym samym budynku. Instalacya ta jest bardzo korzystną, szczególnie wtedy, gdy mamy do rozporządzenia siłę wodną np. wodospad. Wówczas bowiem trzebaby umieścić pod wodospadem koło wodne, a od tego koła przeprowadzić transmisye do warsztatu, coby wymagało nietylko znacznych kosztów, rosnących z odległością, lecz także nie dałoby się uskutecznić w obec tego, że działanie pasów jako środka, przenoszącego ruch, na znacznych odległościach staje się bardzo słabe. Pomijamy już takie względy, jak częste psucie się pasów, jak trudność umieszczenia takich pasów. A teraz przypatrzmy się, z jaką łatwością użyjemy w tym wypadku motoru elektrycznego: Poprostu obok koła wodnego umieszcza się maszynę dynamo, łączy się ją z kołem wodnem; przez obrót maszyny dynamo powstaje prąd, prąd ten zapomocą drutów przewodzić możemy nawet na bardzo znaczne odległości, doprowadzamy go więc do motoru elektrycznego, znajdującego się już w samych warsztatach i powodujemy jego ruch. Zmniejszamy w ten sposób nietylko koszta, ale zyskujemy przedewszystkiem zaoszczędzenie na energii, uzyskujemy proste, bezpieczne i szybkie przeniesienie siły wodnej.

II. Instalacya w grupach. Budynek fabryczny podzielony jest na kilka oddziałów, z których każdy posiada własny elektromotor, a od niego prowadzą transmisye do poszczególnych maszyn. Dogodność tego zestawienia polega na tem, że poszczególne oddziały są od siebie zupełnie niezależne; gdy więc ustanie ruch w jednym oddziale, w drugich oddziałach odbywać on się może bez przeszkody. Praktycznie przedstawia się ta rzecz w ten sposób. Warsztat składa się z kilku grup; jedną grupę stanowią maszyny ślusarskie, drugą tokarskie, trzecią stolarskie itd. W dziale np. maszyn stolarskich zachodzi przerwa w ruchu z powodu zepsucia drutów lub uszkodzenia innej części. Wówczas inne działy nie doznają w swym ruchu żadnej przeszkody, bo otrzymują one zupełnie oddzielnie zapomocą osobnych drutów energię z maszyny dynamo. Jeżeli zdarzy się, że tylko maszyny ślusarskie są nam potrzebne np. często w robotach nocnych, to tylko oddział tych maszyn włączamy, do innych zaś działów zamykamy doprowadzenie prądu. Słowem zużywamy tu tylko tyle energii, ile nam potrzeba. Wytłumaczyć tu musimy jeszcze jedną wątpliwość, któraby się mogła nasunąć któremuś z czytelników, mianowicie, co się dzieje z energią maszyny elekrycznej, (dynamo) niezużytą na wykonanie pracy. Otóż zbywającą energię (maszyna każda bowiem posiada pewną sumę energii) zbiera się w akumulatorach i później zużytkowuje się do rozmaitych celów. (Patrz Nr 3.).

Przeciwnie dzieje się przy maszynach parowych. Tutaj motor obliczony jest na pewną ilość pracy (w koniach) i zawsze bez względu na ilość maszyn roboczych, będących w ruchu, wydaje tę samą ilość pracy. Wyłączenie jakiegoś oddziału warsztatów z ruchu, zatrzymanie transmisyi przy którejkolwiek maszynie jest niedopuszczalne, w obec czego z góry musimy być przygotowani na znaczne straty; z góry już wiemy, że cały zasób energii, dostarczanej przez maszynę, zawsze wyczerpujemy.

III. Instalacya bezpośrednia. Przy tem zestawieniu każda maszyna robocza posiada własny elektromotor. Połączenie maszyny roboczej z motorem jest albo za pomocą transmisyi albo na jednej osi, wprost. Jest to najkorzystniejsze połączenie. Unikamy najpierw długich transmisyi, bo motor elektryczny znajduje się tuż przy maszynie, a przedewszystkiem maszyna robocza posiada zupełną swobodę ruchu. Np. młoty, żurawie do podnoszenia ciężarów, pracują ze znacznemi przerwami, tak iż umieszczenie osobnego elektromotoru przy nich usuwa wszelkie możliwe straty na energii. Dla uwydatnienia dogodności tej instalacyi weźmiemy jeszcze taki przykład. W warsztacie jest np. kilkanaście maszyn tokarskich, kilkanaście ślusarskich, kilkanaście stolarskich itp. Zastosowanie instalacyi w grupach pozwala nam wprawiać w ruch poszczególne oddziały oddzielnie, nie ruszając maszyn roboczych i innego działu. To zaś zestawienie daje nam jeszcze znaczniejsze korzyści. Przypuśćmy, że w dziale maszyn tokarskich, których jest 20, mamy robotę tylko dla pięciu maszyn, to wtedy tylko do tych 5 maszyn doprowadzam prąd, a pozostała część (15) zostaje w spoczynku. Zao-

szczędzenie energii dochodzi do maximum, maszyna elektryczna dostarcza tylko tyle energii elektrycznej, ile konieczna potrzeba wymaga. Wprawdzie zaprowadzenie takiego urządzenia jest bardzo kosztowne, ale opłaca się później znakomicie, zwłaszcza w większych fabrykach.

Zastanowimy się teraz nad zaletami elektromotorów, w przeciwstawieniu do innych motorów, używanych w przemyśle. Przedewszystkiem z a j m u j ą one m a ł o m i e j s c a i m a ł o w a ż ą. Ciężar ich wynosi około 50 kg. na siłę jednego konia, a może być w specyalnym wypadku jeszcze bardziej zmniejszony. Mogą więc one wszędzie z łatwością być umieszczone.

Ponieważ ruch elektromotorów jest wprost obrotowy, więc odbywa się bez hałasu i uderzeń, które przy motorach parowych i gazowych prawie nie dadzą się usunąć. (Ważne to zwłaszcza u nas, gdzie w niektórych wypadkach ludność z obawy huku nie zgadza się na zakładanie fabryki w miastach), Z tego samego powodu odpada tu niebezpieczeństwo, grożące robotnikowi, obsługującemu maszynę. Rozgrzanie drutów, któreby mogło spowodować pożar, usunięte jest za pomocą izolacyi ołowianych; tylko w miejscach, gdzie wywiązują się gazy wybuchające, nie można umieszczać elektromotorów, bo iskierki elektryczne, okazujące się przy motorze, mogłyby spowodować eksplozyę.

Powietrze około elektromotorów jest daleko czystsze, niż przy motorach parowych, naftowych itp, bo nie wywiązuje się ani tak wysoka temperatura, ani nieprzyjemne pary i gazy. Obsługa przy elektromotorze jest nader prosta i nie wymaga żadnego specyalnego wykształcenia. Wydatność elektromotoru jest daleko znaczniejsza, niż u innych motorów, wynosi ona 80% dla siły 1 konia, a przy większych motorach dochodzi do 90%.

Uwzględniwszy jeszcze znaczne zaoszczędzenie kosztów i energii z tego powodu, że jest tu stosunkowo bardzo niewiele pasów, że więc nie następuje ani zaciemnienie warsztatów, ani tarcie pasów o powierzchnię kół, powodujące nieznaczne na pozór, ale w istocie poważne straty na energii, przekonamy się, że zastosowanie elektromotorów do poruszania warstatów jest rzeczywiście korzystniejsze, niż parowe, tem bardziej, że w przyrodzie znajduje się wiele sił, jeszcze niezużytkowanych np. siła wody spadającej, których przeniesienie dokonane być może tylko za pomocą elektryczności. Udoskonalenie akumulatorów nada elektromotorom jeszcze większe znaczenie i zastosowanie.

Konkurs.

Na ogłoszony przez redakcyę naszego pisma konkurs na wiersz ku czci Juliusza Słowackiego wpłynęło dotychczas wierszy niewiele — Z tego powodu p r z e d ł u ż a m y t e r m i n k o n k u r s u d o d n i a 1 w r z e ś n i a b. r.

Autora kryjącego się pod pseudominem „K o s a c i e“ prosimy drugi egzemplarz przysłanego wiersza. Autor zaś, którego pseudonimem jest I. D. A., zechce n a m p r z y s ł a ć s w o j e n a z w i s k o.

Odpowiedzi od Redakcyi

W. H-ski. Oceniamy dobre chęci, ale żadnego z wierszy pomieścić nie możemy. Odpowiedź w drugiej kwestyi listowna.

Zette. Artykułu nie możemy umieścić z powodu zbyt ogólnikowego traktowania.

Ewelina Este. Temat bardzo sympatyczny, ale zbyt szkicowo obrobiony.

Lithuanus. Wiersz nie nadaje się do druku.

Wł. Mikołajewicz. Na artykuł odpowiemy listownie.

Józef S. Zwracamy jeszcze raz uwagę na artykuł w sprawie syonistów w Nr. IV.

Sprostowanie pomyłek.

W poprzednim numerze z powodu szybkiej korekty wkradły się następujące większe pomyłki drukarskie: str. 114 w. 15 z góry zamiast *1396* ma być r. *1496* i w. 17 z góry zam. r. *1438* ma być r. *1538;* str. 117 w. 20 z dołu zam. Zygmunt *Zawisza* ma być Zygmunt *Ławicz;* wreszcie str. 129 w. 3 z góry zam. *słupy* ma być *stepy*.

Do czytelników!

Z numerem tym przerywamy nasze wydawnictwo na czas wakacyi. Następny numer wyjdzie we wrześniu.

Wydawca: **Władysław Wolski.** Odpow. redaktor: **Aleksander Wieleżyński.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Z. Hałacińskiego.